



A. Daudet i
A. Bejot ok. 1880
Fromont syn
Ryster Storsy.
Dramat w 5 c. Aktach
Państw. Teatr Polski
SVB

Własność Gminy m. Lwowa.

DYREKCJA TEATRU H. SKARBKA
WE LWOWIE

[illegible]

okt 5 w 2 odstouach

prer

procer ?
Alfonsa vobet. (Alfonsa Bolet.)

28 January.

951

Katowice. — BIBLIOTEKA

Osoby.

- ✓ Rysler starszy. Ładomski
 ✓ Sydonia, jego żona. Pomieć
 ✓ Franciszek Rysler, jego brat. Hier Kmita
 ✓ Fromont syn. Hier Hier
 ✓ Klara, jego żona. Staroch
 ✓ Delobelle. F. Dabbert
 ✓ Deryderya, jego córka. Kwiercińska
 ✓ Chébe } Rodzic Sydonii.
 ✓ Paul Chébe } Rodzic Sydonii.
 ✓ Zygmunt Plauis. Zbożński
 ✓ Mistressse Dobson. Urban
 ✓ Garderobiana. Symaniska
 ✓ Praptykant w fabryce. Stroszewski
 ✓ Starszy Reluer. Nawotkowski
 Goście - Reluery - Flurba.
 Przez które się w dzisiejszych czasach w Paryżu
 i Bougival pod Paryżem. —

Act I.

Wesjel Saal II 57
III 98

Salonik w restauracji Cifarra z świecami i
świecami w głębi i po obu stronach - Drzwi
ta godzina wieczór - Drzwi w głębi otwarte do sali
halowej jasno oświetlonej lecz jeszcze pustej. -

W drugim salonie fortepian

DYREKCYA TEATRU
HR. SKARBKA
LWOWIE
J. D.

Scena 1.

Chębe - Pani Chębe

Chębe z serwetą pod brodą rozczerwienioną
z rąkami w łokciach w górę stojącymi na ogrom-
nej głowie - Pani Chębe w stroju jedwabnej sa-
tki zielonej, układa jeść rąka jakby na
chramy, kadołowa i rozpromieniona. /

Chębe.

Ale to nie do uwierzenia - nie przechodzę
im tego nigdy! Tak się nie ma objąć!...

Pani Chębe.

Nie irytuj się mój Ferdynandzie! Przechodź
dla nas dzień uroczysty - wesela naszego dziecka.

4.
Chèbe.
Słuchaj mnie na margu koniu stół - mnie
ojca Pauny młodej? I tóż sąmuję nate-
nie mi więcej?... Fromont syn...
jako Fromont!

Pauli Chèbe.
Ale przecież to wspólne nasze goście.

Chèbe.
Mówię ci, że to było umyślnie, aby mię upokorzyć.
Pauli Chèbe (zdrisciona)

Ale w ci się sui mój męchu? Przecadram...
Chèbe.

Przecadram?... więc ci się to chce wy-
daje siniechneiu, że te Fromonty na
naszeiu weselu pierwszą gróją rolę?
Sama tylko Fromonty, żony Fromontów,
ich dzieci, kuzyni, kuzynki, przyjaciele,
i przyjaciele ich przyjaciół. To tak jak
gdyby Fromont się zniósł, a mi Chèbe

oła za max. - Czy któ wspomniał o Chębach
lub Ryslerach? Nawet mnie nikomu nie
przedstawiono - mnie ojca Pami-
młodej!

Pani Chębe.

Winało Ryslera . . . on taki roztar-
guiony . . . taki nieśmiały . . . ta-
ki . . .

Chębe

No dołouck . . . taki pięknój, ten plac.
Kiem pada przed swoim współnikiem,
przed żoną, swego współnika, przed kre-
wnymi współnika. - Imaginuj nas za-
nować przy takim życiu?

Pani Chębe.

Nie zapominajmy jaka jest (przyrówna)
przygoda Ryslera. - Przed 25 laty wszedł
on do fabryki Fromonta jako prosty
rysownik wrotów. - Zaledwo temu kil-
ka miesięcy jak go przyjęli za współnika

6.
młody Sromont następa po swoim stryju.
Czyż można się dziwić, że ktoś co tak
długo podróżując zajmował stanowisko,
pośród swoim dawnym przyrzpateu tro,
che Karku ngina?

Chébe (dammie)

Wiesz pani! Ntś się zeni z panem Ché-
be powinienu się wyprostować. —
(Stoję na palcach)

Pani Chébe.

Jestto kreata wielkie nieszczęście dla nas.
Nie mamy majątku, ani widoków.
Moje 8000 franków ułożyły się w
twoich niekresciliowych spekulacyach. —

Chébe.

A więc jeszcze wyruty do tego

Pani Chébe.

Nie- mój drogi! ale musimy otrarzić
sobie wyrwać, że ci się spekulacye nie
poszczęściły. . . Co innego kreata

74
nasza córka, jak zostać starą panną lub
wyjść za jakiego urzędnika? A stało się
przeciwnie! idzie za Fromonta syna
i Ryndera starzego, firmę pierwszej fa-
bryki obić w Paryżu! Myśle, że nie ma-
my powodu skarżyć się...

Chère.

Nie mamy powodu?... o! to już za
wiele! Wiem pani jak się nazywam?
Nazywam się Ferdynand Chère...

Pani Chère.

Jakże nie mam wiedzieć, kiedyś mi
to codziennie powtarzała...

Chère.

Ferdynand Chère moja pani! stary
dom paryski! negocjant do szpi-
ku Kości...! od lat 30. na widowni
i znany całemu Paryżowi. - Z tem
nazwiskiem i z urodzonymi prymio-
dami miała córka nasza prawo

do najwyższych stanowisk. Niedaleko
 szukać, wszak gdyby młody Fromont
 nie był przez stryja swego zmuszony
 zaślubić Klare, swoją Kuzynkę, na-
 sta Sydonia narzynałaby się dzi-
 siaj Fromont syn. —

Paul Chêbe.

Nie wiem do czego zmierzasz, lecz to
 pewna, że sobie i drugimi swiat za-
 truwasz. — Róż nam się zdany to
 jeść u Desfoursa, a ty się mi staś, mi
 zaważ zrywać od zastawionego sto-
 łu. . . . No wróćcie do stołu dziwni!

Chêbe

O, za mi w świecie. Tu mi durno. . .
 muszę odetchnąć powietrzem. . .
 idę do Palais royal. —
 (wychodzi na lewo)

Paul Chêbe (wołając)

Ferdynandzie! Ferdynandzie! spóźnie,

my się na wety. —

f. Padas gdy od choda obuje na lewo, drzwiami
wgłębi wchodzi Delobelle i Deryderya.

Scena 2.

Delobelle - Deryderya.

(Delobelle w charakteru frańcu, białej Krawacie z
Ramelia, w drzwiach od guxina w skrypiących bu-
dach lankierowanych - Deryderya blada znu-
żona w sukni musliuowej, stanowi proctota
swoja Kontrast z elegancją ojca. Napada nieco
na waga, lecz lenno i z pewną gracją - Heluery
zapalają Naudelabry)

Delobelle (nieco podchorony
moim wyznem). Chodź Tyzin! chodź! Tu
jest próżny salonik, gdzie będziemy
sami (do Heluery z głosem teatralnym) - To,
staw nas samych! - (gdy się Heluery wacha,
moim podniesionym głosem i z majestatycznym
głosem anasując drzwi) - Oddać się. . . .

10.
(Kelner wchodzi z awionkami)

Deryderya.

Alex opxe ! poco ta tajemniczość...
Gwieździe języczek wyspy u stotu. . .

Delobelle.

Moje dziecię ! chodzi tu o rzecz ważną.
Jam tu jedynym artystą na całym świecie,
szczęśliwym weselu. — Niezawodnie
wieczór mi minie, żeby mnie nie
proszili, aby im co zademonstrować. —

Deryderya.

Sadziś opxe ?

Delobelle.

Jedyny tego jestem. — Któż z nich nie
stypował o wielkim tragiku Delobelle ?
Od lat 15. jam mieszkający w tej dziel-
nicy, zwa mnié Raxide dziecię. —
U stotu up. siedziatka obok mnie pawi
Fromont, żona współnika. — Bardzo dy,
stygornna dama ! Otwi podnoszącego

obiadu mi spaciła xemnie ona. Czy
unaxatos? Kiedym xiadał sznu ad kel,
nera-powiedziatem to xreuta hardo
sfentownie-garcon-„ Los holenderski
jxili tarna-„ wszyscy się obejxeli na
mnie.- Talerzy hardo wiele na an-
cenie. Szeptali sobie do ucha
i wpatrywali się we mnie. wydało
mi się, że jestem na scenie.- O! to
tak mi było przyjemnie! i jakże mi
miało być, kiedy się tak długo jox
nie występowało.

Dexyderya.
Biedny ojciec!

Polobelle.
O! ha! x spokojna. ja sobie przy-
wzinniej mi z tego nie robię.- Tak
kat 10 jox mi gratem, dixciiej lat
przedstawiają mnie ci ślepi dyrekt-
rowie na uboczu, bez wexwania mnie

na scenie, bez roli. Tem gorzej dla
nich. — Jaki oni zgłoszą się do mnie
muszą się zgłosić, ~~gdy~~ ^{gdy} już nie mogą,
tego mi będzie. ale to innego.
Ale wróćmy do rzeczy. — Pamiętaj,
że mi mało zależy na tem, aby
się przedstawiać przed tym tłumem Pa.
marzy, ale nie podobna będzie wy-
mówić się od tej ofiary. — Trazu
miatem na myśli tę wielką sce-
nę z „Odłuska” Moliera, lecz nie
mam nikogo, co by drugą odegrał
rolę. chyba, gdybyś ty re-
chciała.

Deryderya (z prestrachem)

O mi- błagam cię ojcze! . . . tylko mi ja. . . .

Delobelle (z łitościwym wzruszeniem)

Tak, tak, wiem! . . . ty jesteś jak twoja biedna
nieboszczyzna matka, jej także nigdy u-
prosić nie mogłem, aby jedno słowo

powiedziata publicznie, lub choc' list poda-
ta na scene. - Nie mam jej tego co-
ste- (Dexydera uwaru sie) - Biedna Ro-
bieta! swieta prawdziwie! ... Jan
mnie Kochala. ... Byla moja po-
ciecha, moja podpora. - Potki byla przy-
mnie, ratem sie silnym. - A odna-
umarta. ... (obciera tace i wraca zno-
wu do poprzedniej myśli) - Zreszta prze-
czytaj sama, przekonasz sie. -
(Dexydera robi gest odmowy) - No, no,
nie mowmy juz o tem. - Lech co-
zreszta moglyby deklamowac? -
Modlitwa Texcusa do Neptuna z Te-
doy. ... Potemny ustep! jeden z mo-
ich tryunfow, jakie kardynatem skro-
le Marycznej. - Tylko musialby raz
jeszcze rzucić okiem na tekst. - Znam
go na palcach, lech czy nie wy-
wietrzat głowy? -

Dexydera.

Uwarij ojciec!... jęchis' mię ratniem
pewny. . .

Delobelle (obroźony)

Tan myshix?

Dexydera.

Myślc, że może lepiejby było nie do-
klamować. . . to tan mię miło
zaciąć cię. . . Nie troja pamięć
podjętyram. . . ale trampa. . .
Zawiele piles. . . Zaratam ci ruka,
Ki. . . aleś mię uwariot. —

Delobelle.

Czy tan? Prawda, że trochę za ostro
uabijam, ale mię bój się dam sobie
radę. — Jestem z tego samego krounu
co stary Heni, który nigdy wyręzić
mię weniwiś, miś wleidy, gry sobie
podchmicił. — (Dexydera chce odpowiedzieć
„dzieć”) — Dziękuję mała miścrnako!

Ty nie pojmiessz nigdy co znaczy je-
 aluwić! - Ale mimo to Kocham cię
 całym sercem . . . O to serce! wiele
 się już z niego rozptynęło w moich
 kłopotach. - Ale nie lekaj się twoją wra-
 cając w mój prechoryt . . . Chodź mi-
 ę przestuchaj monologu, za to cię
 że go wyrecytuję od A do Z. -

Deryderya (zaczyna cię)

Być może, że go umiesz . . . ale ja
 nie umiem na pamięć twojego mo-
 nologu. -

Delobelle. (ciicho)

Sztuka jest w moim paletocie . . .
 przyniesi ją z garderoby. . .

Deryderya.

Jakto, więc i ta sztuka wrzuci się woda,
 więcej więc sztuk przyniosłeś?

Delobelle.

No, no, wracaj tylko prędzej. . . Oto

16.
maxx numer paletotu (deryderya odchodzi)

Scena 3.

Delobelle-Chêbe - Pani Chêbe-

Delobelle (stojąc przed zwierciadłem)

Tan z tego samego kruszcu, w stary
Heau, tylko wyprzebiony lepiej mo-
gę sobie to przynąć (podiera się chwi-
le w lustro, poprawia manikiety - idzie kil-
ka kroków napród i znowu wraca, robiąc
normaite miny i gesty) Dalibóg nie
mogę cię sobie dość napatrzeć!
(przeżyła sobie^{do} zwierciadła porównanie
dłowiń - W tej chwili wchodzi państwo Chêbe)

Pani Chêbe.

Chodź mówić ci, wracajmy do stołu. . .

Chêbe.

To co? aby nowych doznać upokorzeń. . .

Pani Chêbe.

To to, aby zjeść mnóstwo dobrych rzeczy.

17. 9
Mój Boże! taka ona xya nie przedno nie
powtorzy. -

Chębe (postregiły Delobelle)
I ty tutaj panie Delobelle . . . Co pan
za błażeniśtra wyrabiasz?

Delobelle.
Portarom moja wola . . . Deryderya
nie daje mi spokoju. - Mowi, że
mnie będa prosić, abym delamował.

Chębe.
Co . . . prosić pana?

Delobelle.
A czemużby nie?

Chębe.
Co panu w głowie? Pana Chębowie
zaprosili . . . pan uależyysz do tłu-
mu . . . pana wint nie będxie pro-
sić . . . !

Delobelle.
Jem gorzej dla nich . . . co mnie to

17.
obchodi. ... mi będzie deklarować.
mi mam całkiem ochoty dekla-
rować. ...

Chębe.

Gdybyś był zaproszony przez Fromu-
tów, to co innego. - Występo dla Fromu-
tów, mi dla Chębów. - To hasto dziwiej-
sze. —

Scena 4.

Ci sami: Deryderya (Kciarka, wrenu)

Deryderya.

Oto została ojciec!

Delobelle.

Porozumiesz pan mi prawdę? To mien-
nie tagany los artysty. - Dalej naprzód
Tyrii! - Akt czwarty, scena druga: A
ty, a ty Neptunie! Jakże to tryumf
zjednać mi ten występ! Jakże try-
umf w Montfeller obok Racheli
na ostatnim jej wystąpieniu. —

Graża moja oskarżona ja, odwróciła się
aby ukryć swoje wczucie, a gdy
Kurtynę spuściło, rzekła do mnie
ta nieśmiertelna Kapłanka tragicz-
dy: „Takiego Texeira jak pan, pa-
nie Delobelle! nie miałam jeszcze
nigdy.” Po przedstawieniu czeka-
ła na mnie publiczność parterowa
przy wyjściu, aby mi konie wyprze-
dzić.

Chebe (wyderzo)

„Ale pan byłeś na wieczniku pie-
chota... nie prawda?”

Delobelle.

Tak jest piechota... ale publiczność
dowodła swemi demonstracyami,
że mi się powróć z woli bożej i z pra-
wa należy. —

Chebe (do któregoś z murawie-
jów) — To także jeden z tych, co mi
bez wstydu samochwalstwem drżą,

Lajla na nerwy.

Pauli Chèbe (odchodząc z mekiem)
 Jak można w takim dniu, tak siebie,
 potrzebnie przygotować. —

Scena 5.
Delobelle-Deryderya.

Delobelle.
 A więc do naszej roboty, Syxii!
 (deklamując) - A ty, a ty Neptunie, kiedy
 meistro moje
 Wytępiło w tym kraju straszliwe rozkoje,
 Pamiętaj, że mi za tyle prac podjętych z chwata.
 Z chwata (zacinając) cicho, nie mi nie
 mów... wiem co następuje dalej z chwata...
 (niecierpliwie) no podpowiedź mi, wspan
 widział, czemu się zaciął.

Deryderya (z kłopotem)
 „Najpierwsze z moich życzeń spełniło,
 uem zostało.” —

Dezyderya (z kłótni)

~~"Najpiękniejsze z moich zyczeń spełniać
zostało."~~

Delobelle.

"Dziś, dziś już wiem . . ."

"Najpiękniejsze z moich zyczeń spełnia-
ć zostało!" - Przeklęty rampau! nie
gdy mi się to jeszcze nie zdarzyło. —

Dezyderya (cicha)

"Stągnij znowa cierpliwie okropność więzienia,
"Nieśmiertelnego twego nie wygraś cięnienia."

Delobelle (opowiadając)

Tylko mi tyle na raz . . . temu mnie
porabiasz . . .

"Stągnij znowa naturze strasli-
"wej niewoli."

Dezyderya (prerwywając)

Ależ w Łemnie jest ojciec . . .

"Stągnij znowa cierpliwie okro-
"pność więzienia."

Delobelle.

Przecież tak powiedziałem... O wiersze
starego Rasya przyswajają się łatwo.

Deryderya.

"Niesmiertelnego twego nie wygrał
"cieniemia." —

Delobelle.

Co? mieniam... to nie ma sensu...
przecież bożek Neptun nie posiadał
mieniam... dawajcie mi jakieś ma-
wet podpowiadać mi umiesz... ty
jedynakże starożytnego tragika... —

Scena 6.

Poprzedający - Rysler i Zygmunt
Planus (wychodzi z głębi - Keluer otwiera
na nim drzwi)

Keluer.

Tu możecie panowie paść. —

Rysler (podając mu rękę)

...achy ci mój przyjacielu, dręczę serce - 23. 12.
ernie na twoją uprzejmość. (do Planusa)
Chce uwierzyłbys jak mnie cieszy ta gwe-
rność i serdeczność, którą tutaj na kar-
dym kroku spotykam. Chodźcie stary, chodź-
tu możesz swobodnie... ah Delobelle...
Proszę, proszę, nie przeszkadza mi, ruba-
tem tylko kaciła dla przyjaciela Zygmun-
ta, gdyby sobie swobodnie fajerkę mógł
wypalić. (zbliza się z serdecznym uśmiechem
do Delobelle) Choć co? Jakże się mamy?
Co słychać? Obiad był dobry, co?

Delobelle (zgrozo)

Czy już po obiedzie?

Rysler.

(przeniósł się już do salonu.)

Reaturalnie, wrypy są już w salonie...

Delobelle.

A do Nata! porpadło!

Rysler.

Delobelle! mój przyjacielu, podaj mi rękę.
Przyrtnaj się, czy nie masz jakiego zmartwie-
nia, przy obiedzie byłeś taki rortargui-
ny.

Derzyderya

Nie, panie Ryśler, ojciec mój nie ma
żadnego zmartwienia! —

Delobelle.

Tak... to jest wyjawy tego niecier-
telnego sepa, co mi narpie wątrobę —
teatr. —

Ryśler.

Wiem, wiem... ale reszta... może jaka
mala troska... wiesz, jaki kłopot... rale-
głosie w cynsku. — Bo widzisz, jakbym
dziś pragnął uprzedzić wszystkich około siebie
prześlanych.

Delobelle.

Nie mogę cię wypierać... —

Deryderya (zawstydzona / przerywa)

O dziękuję... panie Ryśler! pan już tyle
dla nas zrobiliś. — Teraz chwała Bogu
nie brak nam na niczem... mam
bardzo wiele roboty. — Odrobny i piór coraz
więcej wchodzi w modę... na planie

moje coraz więcej odbył, mnożąc nam
zamówień. —

Rysler.

~~Owemu mojemu matu, to jest do dziecku pa-~~
~~ciowemu.~~ — Oznam plany, pracowite i ener-

Delobelle.

Chciałbym jednak z panem pomówić po-
nie Rysler. . . . mam plan. . . . to jest
projekt. —

Deryderya.

Chodź ojciec! nie dajcie okazać na siebie.

Delobelle.

Mała słuszność. . . . a więc innym
razem. . . . niebawem.

Rysler.

^{tylko} Kiedy chcecie kochany Delobelle.

Delobelle.

(odchodzi deklamując i wygryzając kawałek)

„Nieśmiertelnego tego nie wygrać imienia.

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

Scena 4.

(Podczas poprzedzającej sceny, Planus wydobyl z kieszeni wielką fajkę porcelanową, ustawił ją, zapalił i widownie obserwować zaczął ją.)

Rysler-Sygmunt Planus

Rysler

(ciada obok Sygmunta, spłotł swe ramię z jego ramieniem, mówi półgłosem.)

Sygmuncie! stary drucku ...

Planus.

(nie wyjmując z ust fajki) A tak. Um

Rysler Jestem srereśliwy, bardzo srereśliwy.

Planus. Widac to po tobie.

Rysler O, nie możesz widzieć wrzystkiego, bo jestem tak srereśliwy, że napróżno rękami wywarów, ażeby ci wypowiedzieć, co się w mojem sercu dzieje na wspomnienie dnia drisiejszego. Co to na wspomniaty dzień przyjacielu! ile rozkoszy domatem już od drisiejszego rana. Ramiutko przechadzaniem się jeszcze po raz ostatni po main kawalerskim pokoiku, wysiuntko ogolony we fraku, rozpatrzony w dwie pary rekawi-

erek glansowanych. Potem rajachaly powozy
weselne, cały szereg, przy pierwszym konie
śmiernej białosci w białej jak śnieg uprzęży
a w nim biała suknie panny młodej; porobi-
jająca się jak lekki mglisty obłoczek przez
okno powozu. Potem wchodzą do kościoła pa-
rami, a biały obłoczek rawse na ciele. Jarra-
se się światła, cała ceremonia, przemowa księ-
dra, ludzie cisnący się w rąkrysty i ten hymn
uraczysty na organach, wreszcie brama kościel-
na na oścież otwarta i głosy odrywające się
w tłumie: "Pan młody wcale nie ładny, ale
panna młoda diabelnie piękna." Ah, powia-
dam ci, że to rorkosz być panem młodym.
Potem śniadanie w fabryce, przejazdka po bu-
łowskim lasku, a wreszcie ten przepyszny obiad
u Defoura, wszystko to snem mi się wydaje, a je-
dnak jest rzeczywistością, wiem o tem a niedo-
wierram sobie, że to na jawie, że w samej re-
czy doświadczeniem się dnia takiego. Dziwna, nie-
pojęta rzecz, żeby takie słierne drzewce jak cy-
stania mnie właśnie sobie wybrała. Mogła rna-
leć tylu młodszych, rgrabniejszych i ładniej-

szych odemnie, nie mówiąc już o moim
bracie, biednym Francisku, który ją tak
kochał! nie, ona wybrała swego starego
Rislera. Ktoby był pomyślał i uwie-
rzył w coś podobnego.

Planus. Vikt.

Rysler. W jednym roku niespodziewanie
spotkało mnie niesłychane szczęście jedno
po drugim, zostałem współnikiem Franon-
ta i mężem Sydonii.

Planus. (wytrzasając fajkę) To dziwne.

Rysler. Ktoby to był przypuścił przed
dwudziestu pięciu laty, kiedyś wstąpił do
fabryki jako niewprawnym komisarz rządzący
1200 fr. pensyi. Nie dobraci skarywates wten-
czas mnie i mojemu bratu Franciszkowi, mój
stary Planusie! Dom twój stał dla nas otworem,
a co niedziela zapraszał nas na obiad, pod-
czas którego gwarzyliśmy o naszej oprzyjnie, naszej
kochanej, wspamiatej Trwajce.

Planus (ramyślony) Tak, były to piękne chwile.

Rysler. Były, były. Przeciwnie teraz dopiero
raczą się te dobre czasy. Dom mój musi być uwa-
żać za swój własny, robaczyj jak przyjemnie.

15.

przepędzić będziemy kradzież niedzieli i świę-
to, twoje stare, pocreine oblicze w moim
domu pomiędzy dwoma buteleczkami do-
brego wina nad wyraz uszczęśliwiać
mnie będzie. O toż to będzie życie rorkornu.
Jedna rzecz tylko ratująca mi radość całą.
Flamus. Coż takiego? Begor ci jenera nie
dostaje?
Rysler. Widzisz, boję się... Zdaje mi się, że Fran-
ciszek...

Scena 8.

Chébe!

(wychodząc z głębi w gwałtownem wzruszeniu)
(do Kelucera) Jesteś bez wcluy! Czy wiesz z
kim mówisz? Jestem kuzinem pana
Ryslera, nazywam się Ferdynand Chébe.

Pani Chébe.

(wychodząc z głębi trzymając filiżankę lodów)
He słuchajcie Ferdynandzie!

Chébe.

Daj mi pokój... (do Kelucera) Panu niech
mi tu watychniast będzie. - Może sam
wydawać rosmaxy, kiedy się tu niekt

nie troxery u gości (odchori z xionu)

Siena G.
Rysler-Planus-Franciszek.
Franciszek.

/ wesełiny xionara uic do Ryslera i Zygmunt,
który w kacie rozmawiali:/

Sa tu - adgadtem. Po zapachu tytoniu
 przeczutem w drugim koutu salonu, że
 tu jest ojciec Planus. —

Rysler ~~Franciszek~~ W sam czas przy-
 chodzi, mój chłopce. Mówilem właśnie
 o tobie.

Franciszek. Też? .. cóżecie mówili?

Rysler. Mówilem ... Zbliż się.. Tak.. patrz
 mi prosto w oczy. / bierze go za rękę i pa-
 try w oczy / Mówilem, że jestem naj-
 szczęśliwszym człowiekiem pod słońcem,
 że jednak do zupełnego szczęścia stoi
 mi Was na przeszkodzie .. i to ty Franciszku.

a ty jesteś jedyną przyczyną.
Franciszek.

Ja?

Rysler.

Tan jest, ty - lekam cię abyś mi nie
 wiała za złe.

Franciszek.

Ja mam ci braci za złe? i cóż na
 Boga?

Rysler.

Widzisz, czasami... mimowoli przycho-
 dzi mi na myśl, czy ja przypadkiem
 przeszedł mojego nie budowałem na
 grzechach twojego.

Franciszek (zniecierpliwiony).

Nie rozumiem cię.

Rysler.

Tow tarratem sobie nieraz, że drzewcyna,
 która rośnie, także twemu sercu nie by-
 ła obojętną i martwym more o tem, że
 pojmuje ją kiedy za rone.

Co za myśl! Franciszek.

Rusler.

A widząc, że to małżeństwo nie
może przenieść do skutku, postanowi-
łeś odjechać w świat, daleko, ohro-
wnie daleko, do twego niesre-
znego Egiptu.

Françoiszek.

Idłoteż to ten list do mnie, w któ-
rym mnie błagałeś tak wrule, abym
ci pozwolił być szczęśliwym. - Nie ro-
zumiem wtedy ani słowa. -

Rusler.

W istocie nie rozumiałeś? I szczerze po-
wiadaś, że się omyliłem? I nie ma-
rząc do mnie, nie gniewasz się na mnie?

Francoiszek.

Ja mam się gniewać? ja!... gdy
bym nawet miał powód do tego, nie
mogłbym. - Janowicz to była kryzysa

niewdzięczność. - Ta odrobina mojej
naszki i wiedzy to twoje dzieło. - Czem
jestem to tobie jedynie zawdzięczam.

Stanis.

Przed, że uciekam sobie wzystkiego
odmawiać, aby ci nie brano było
na niczem. -

Cicho siedź, także masz o Rusler.
czem mówić

~~ale daję pokój~~ Kto o tem mówi?

Franciszek.

Masz słusność nie mówi się o tem,
ale się nie rozumina. - Długo tamie
sa rozprawa i płaca się poświęceniem
bez granic i przyjaźnia, która się nie
koi. -

Rusler (wstając)

Daj mi więc dowód tej przyjaźni, Franciszku
i nie powracaj do Egiptu. Zostan z nami
raz na zawsze. No jakże? wszyscy będzie-
my żyć razem - ożenić się także - już my
ci wyrzucamy żonę. A może nawet już

24.
znaleszliśmy - powiadam ci,
milutka dziewczynka, którą
oddawna dla ciebie prrerna-
cratem.

Franciszek.

Tak nagle?

Planus (z fajką w ustach)

Zobaczmy się z ja kuam. - Niedaleko-
co? (zoglądając na siebie i uśmiechając się)

Franciszek.

Nie bracie! pozwól, abym się teraz
jazzere nie kenił. - Rozprawa
tam wielkie roboty, a kwiere je za
dwa lub trzy lata. - Wtedy wrócę i
pomyslimy o mojem weselu. —

Rysler.

Stowo!.. zgodu!.. O!.. teraz
dajno fajkę, stary Planusie, niech
i ja z niej trochę pociągnę. Teraz

mi już nie więcej do szczęścia
nie brakuje.

Planus,
Patrz, twoja żona. (wskazując
w kąt)

Rysler.
Ach! tańczyła z moim współni-
kiem. Jaki zasręty!
(Franciszek odchodzi)

Scena 10.

Rysler-Planus-Sydonia-Jerry.
(od kilku chwil muryzna zaczęła grać tańce w
tyłym salonie. Inex obróci drzwi wchodzi Sy-
donia w ulubień salki z Jerryem. Zadane z nich
nie spotrzeżyło Ryslera i zabrała być samymi
w małym salonie)

Sydonia
(wypowiadając murowi z usmiechem)
To nie prawda, pan Klamiesz. -

Jerry.
Nie Sydonio! Nie Klamiesz. Ty byłaś je.

dynd, która Kochałem. - Przysięgam ci.

Sydonia (ciężko i smutnie)
Przysięgasz pan, żeś mi dał dowody.

Rysler
(do Zygmunta) Patrzaj! jaka ona śliczna.
Patrz jaka ona piękna, jak ślicznie objęła
tęśnię. -

Jery.
(chryta za ręce Sydonii)
O Zygmuncie nie patrz na mnie tak
sydery. - Wiesz uodło dobrze, jak ma,
żeluztro moje z Klara, przysło do skut.
Ku. Jest moja Raryna. . . . Strój mój
chciał - być jasi na toiu sinierstelnym
a ty byłas daleko. - Nie miałem od,
wagi powiedzieć mi. -

Sydonia.
Jestem zamiast pania Fromout młoda,
zostałam pania Rysler starsza.
Nie mam się na co zalic. . . . wystan

na tem dobrze. Co pan sądzi? Sydo-
nia dawna młoda, raptem stała
na rówi i troję znow, wprowadzona
jako współnadrzyni do domu Fromon-
tów, tego wielkiego i sławnego domu.
Z małej ciężkiej i debnej pnieć do wpa-
niętych konnat, dla mnie umyślnie
urządzonych, z skromnego bytu do
bogactwa, do zbytku i jałmużny.
Je... To wary doprawdy! (przeoglądając
się w wielkim zwierciadle). A gdy spoj-
rze w lustro zaledwo poznaję siebie.
(Mamię się do zwierciadła) - A jednak
to ja jestem!... ale jakim odwiecnie-
nieprawdą? -

Rysler.

(do Franciska i Planusa) Crekajcie, cre-
kajcie, coś wam pokazę.

Jerry (do Sydonii)

Wiec mi zatusz ? Jesteś exorzylirą ?
Sydonia.

O tak . . . jestem exorzylirą - zupełnie
 exorzylirą. - Mam wybornego meza,
 który mnie wielbi, którego nauczylam
 się Nochac' od dzieciństwa. -

Rysler.

(zblizywszy się niepowstrzymanie stała się gło-
wo miedzy nich) Ach ! ja na ^{Tuba} ~~ona~~ ~~mała~~ !

Sydonia.

(Stumiała Kryn porozumiała) - Ha ! pan
 tutaj ? . . .

Rysler.

(z dobrodusznym uśmiechem, jak widzi,
moja koneserko i do tego nie sam, przy-
szedłszy tutaj pogadać sobie trochę.

Sydonia.

Alexi szukała pana wrednie
 Iale pełne, bał się rozpoznać, a pana
 nigdzie mi widzi. - Piękny pan

pan młody!

Rysler.

Prawda, biegnę cromptredzej spełniać
obowiązki pana młodego.

Sydonia.

Momencik tylko... porwał pan...
Krawatka się panu rozwiązała. —

Rysler.

Nierozumiem co to jest, że mi się krawate
rozwiązuje. (re urruszeniem) Co to ra
rozchorz więc krawatanie się tych drobnych
paluszków około szyi.

Wprowadza — (Wchodzi goły Sygmunut i Frau.
ciżek rozmawiając wybuchła, wchodzi
Klara Fromont) —

Scena II.

Sydonia - Rysler - Jerry - Klara -

Klara (imiejac się)

A jesteście tu. —

Rysler.

(Któregoż znowa owo jego wyjeżdża. chce na „
prośbę postąpić. A... pani Fromont
mówiła!)

Klara (do męża i innych)

Poradźcie mi, kto jest ten oryginal, ^{obiadu}
co się podras ~~stota~~ tak we mnie wpa-
tywał?

Jerry.

Lapewue Delobelle, artysta dramatyczny,
przyjaciel Ryslera. —

Rysler (zblizajac się)

Trzeba państwu wiedzieć, że to człowiek
z wielkim talentem, tylko na nieprzerwanie ni-
gdy nie miejsca znaleźć nie może.

Klara.

Ale coż on jest? czegoż szuka i tam dłu-
żej nie skradajcie się do salonu. —

Jerry.

Chce superue ws' zadeklamować. -

Klara.

No to go słuchajmy. -

Rysler.

Oczekujmy się pani charitabke, bar-
dzo proszę. (bierze Sydonię za rękę)
Pojdź moje dzieci, pani Fromont,
nie miałem jeszcze dzisiaj przyjemno-
ści pomówić z panią, a jednak to co
pani mam powiedzieć, już cały dzień
leży mi na sercu.

Klara. Co takiego? Kochany Rysler

Rysler. (bardzo wzruszony Madrie rękę Sy-
donii za rękę Klary) Pani jesteś taka do-
bra, czy pozwolisz mi więc nadzieję, że
będziesz wreszcie kochać moją Sydonię, co?

Klara.

Olan - przecież ja i Sydonia, to stare przyjaciółki.

ciotki. - Znamy się oddawna. -

7 Rysler.

Wiem, wiem. Przypominasz też sobie Sydonie, jak się po raz pierwszy naprowadziło do fabryki na zabawę u panny Klary.

8 Sydonia (porażenie)

Nie zapomnę nigdy dobroci, jaką mi okazał rodzice pani Zosmout. -

9 Rysler.

Nie odmawiaj jej pani i nadal swojej opieki, bo jej tak potrzeba rady i pomocy pani w tym nowym i niemałym świecie, który się przed nią otwiera.

10

Klara.

Sydonia nie potrzebuje, ani rady, ani pomocy. - Już dziś jest uroczą i dyktugowaną damą. -

Rysler.

O pomimo tego będzie korzystać z twojej dobroci pani, wierzę mi! Zosmout

bierz z niej przykład! zapamiętaj się na nią
we wszystkim, bo na całej Kuli ziemskiej
nie ma drugiej takiej kobiety jak pani
Jerozowa. Kieruj obrat biednego jej ojca,
prawdziwe serce Fromontów.

Odyseusz (zwraca się do niej)
Matko nie odpowiadaj!

Scena 12.

Pisami-Chébe, potem Wyrzuciński.

Chébe (z impetorem do Helucy)

Ładuj portiere! ... pozwólcie państwu!
brakuje miejsca do kładzienia, trzeba więcej
se zrobić! (Helucy odgryzają portiere i wle-
ki i mały salon trona, jasnorożniczkowa sala
balowa - Chébe biegnie w głąb wołając)
Kolamuna dalej! napród!

Delobelle.

(zwraca się napród z córką z wyrazem rozpa-
ry, trzymając ją przy sobie, wachlując się kocytem)
Chęć, że mi nie daś deklamować.

Qui potrafię zrozumić powołanie artysty.
 O godym moim, jakichym się rad wyrec
 teatru. - Ale nie mam do tego prawa,
 jestem niewolnikiem mego jęmiu.
 A... Nadrył się kórnym. - Godym te
 raz probować, zaimu wywieść, najbli-
 szy numer tańcu. - (widzując na karcie
napisem "walc" która marykanci na forte,
piawie półwypu) - Dobra myśl! (odsko-
dzi w lewo) -

Franciszek.

(do Derydery siwarcj na sofie podczas gry
orkiestra zaczyna na polka) - Pami nie
 tańczy, pauno Deryderyo!

Deryderya.

Nie pami Franciszku!... paun wie, że
 nie tańczę. (ze smutkiem ale bez apetytu)
 porzecier kuleje. -

Franciszek (do siebie)

A jakie to było nieporozumienie z mojej strony. —

Deryderya.

(asmiachajac ui) - To mi nie szkodzi. Chodź
pan i siadaj tu. - Może mi pan daruje
te polke. - Nie mogąc jej przekazać, prze-
gawędził ją. - Chcesz pan? -

Franciszek.

(siadując przy niej) - Z czegoś cerna. - A pta-
rki panu jak się mają? -

Deryderya.

Mam teraz bardzo pieknie. - Mogłoby
pan przyjąć i zobaczyć je jak dawniej. -
Nie znajdą cię pan żadnej zmiany u
nas. - Mój fotel stoi zawsze na tem sa-
mem miejscu przed wielkim stołem, na
którym robisz swoją robotę. - Bo ja nie
jestem wędrownym ptakiem jak pan,
nie lubię się ruszać z miejsca. - Za to
moje ptaki po świecie wędrują. - Gdy
je upinam na kapeluszach zawsze im
excrato rozpoczynam skrytka i kark

ciu lecieć daleko, daleko lei' ptanku, lec!
 gdzie leca me marzenia! "Antesy wyda-
 je mi się, że odlatują... i ja z nimi!
 taka rewolta i lekka, jak ich małe piórka.

Franciszek.

Podobnie odlatują? ptanki pawi i
 pawi sama?

Deryderya (zaniepokojona)

O... to moja tajemnica. —

Delobelle.

(Chlixiwery się do Deryderyi) — Patrz, dźwięk! —
 (prokaszając się, który głosi wyty) "Intermezzo
 dramatyczne; uwodlitwa Tereusza do Nep-
 tuna z "Fedry" Wygłosi pan Delobelle, piór-
 ny bohater tragiczny i Kochanek. — Zarie-
 sze to przy fortepianie w miejsce tych pre-
 kletych numerów tańców. —

Deryderya.

Ależ proszę się ożre!

Delobelle.

24

Onie- nie-... fortuna jest xawiedhana, trze-
ba ja ludzom narucac' (idzie do fortepiana)

Franciszek

(do Derydery) - Łowisz nie więc jeszcze trudni?

Deryderya.

Więcej niż Niedykolwick... a mnie nie
wypada odbierać mu to studium. -

(Ruch w sali holowej)

Chęć.

(Krywa z głębi) - Nie- żadnej deklamacji...
prez deklamacja! do tańca! do tańca!

(Głos z grupy)

Nie- nie, intermezzo! Tęseux!

Rysler.

Tan- zadklamuj nam co dobrego, panie
Delobelle! Cusrem, deklamuj nam co, Ko-
hany Delobelle, proszę cię. Delobelle (w środku)

Żeśli państwo żądanie... ale nie...
nie wiem doprawdy... nie jestem przygo-
towany. - Wyobraźcie mi miałem myśli. -

Chębe.

(wcinawany się poza grupę, wstępując) - Nic tu, choć! ... Sam Karle zawięził! ...

Delobelle.

Kto to ci nie mówi?

Chębe.

(ciągnąc Krystofa z ukrycia) - Muryka! muryka.

Rysler.

Jeżeli nie chce dementować nie bądźmy natrętnymi. nalegajmy na niego.

Delobelle.

(widząc że się grupa rozprósza) - No... jeżeli panstwo koniecznie chcecie...

Wielka głośno.

Sza! cirko! cirko!

Chębe.

Tak! ... w porządku! (adhortacji)

Delobelle.

(dając ręce do wydergi) - Oto nasz duśko! poświęćmy się! ...

„A ty, a ty Neptunie! Kiedy meistro moje
„Wytepiło w tym kraju strasliwe rokowje,
„Pomnijże mi za tyle prac podjętych z chwałą..
(Chwierając się w głębi podrobie, ukazyjąc ci stary
Kelner a za nim Chębe, który śmiejąc się wy-
derus, rece zacierając)

Stary Kelner.

(do Sydonii głosiąc) - Powróć paui!

Delobelle.

Ha! (nagle się mierzwiąc, z obawieniem kuro-
cąc do Chębe) -

„Najpierwze z moich synów spełniać cię wstało”

Paui Chębe

(wesoła prowadzi Sydonię) - Chodź corco,
chodź... gdzie jest trojmar... Rysler?

Delobelle.

(popychany i potrącony) - „Dłagom zwrac
cierpliwie opropnować wiezieniu.. (wroczony)

O! mić słuchając... (pada bezsilny na
kresło - Decyderya stara się upokoić go)

Francurek.

(przystępując do Sydonii, podczas gdy Chébe prowadzi
 ich z życia - Egipcjoniem wzruszeniem) - Sydonio!
 jutro wracam do Egiptu. Nie wracam cię
 nigdy więcej. - Bądź zdrowa i wrota mo-
 ja! W tych renek jest los naszego
 wieku . . . prawego, słusznego i pe-
 nego ufności serca. - Ty go będziesz ko-
 chać, nie prawda? . . . unykniesz go
 wszelkimi wymiarami życia. -

Sydonia (podając mu rękę)
 daj na miłe francuski!

Tam Chébe.

(wraca z Ryslerem, wychodząc) - Zdziw!
 odprować twoją żonę - (Rysler podaje
 rękę Sydonii. Tworzy się śpiewający pretekst
 w uroczystym przejściu - podczas gdy Sydonia
 promieniająca elegancją, a Rysler nieco pochy-
 lony i niegrabny, wychodzi, kłaniając się francu-
 szce do Zygmunta, który widząc patrzy za odchodzącymi.)

Franciszek.

Czy na to stary Planus porie? Dwie to
exerescia dla pnyjaniot Ryslera. - Tys
zapewne zadowolony. -

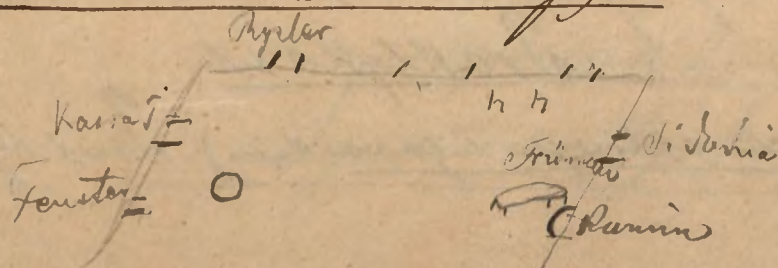
Planus.

Nie - (przez zęby) - jakos mi sie to dxiomnie
wydaje. -

Zastawa spada. -

Art II.

(Miejskanie Ryslera. Mieszkaniowi bijary w
oczach zbytek - po prawej stronie Komina - przy
Kominie sofa - po tej samej stronie o jedne
Kulise dalej dwa fotele - po lewej stronie okragly
pnyj pierownej Kulisie, obok kucsto - w głębi troje
drzwi, srednie pochodowe - z lewej do pokoju Lydani
z prawej do gabinetu Ryslera - pnyj pierownej Kulis
nie małe drzwi do Kasy) -



Perlen Linnier
Pepa

Scena 1.

Sydonia - Praktykant (z fabryki w
dziwannej liberyi - Sydonia z wielką furfurą i
w klejnotach w rannym neglizie)

Sydonia.

(wchodzi z uśmiechem i powita scenę) - Powiedź portye-
rowi, że dziś mój dzień recepcyjny. -
Brauna niech będzie otrzuta na oścież,
aby poroczy wjeżdżać mogły, tak zupełnie,
nie jak w domu recepcyjnym u pani
fromont. (sprostregając praktykanta) - A...
ty tutaj. ... bliżej! ... obroc się! (ogląda
go wokoło) - Nie ile jak na uroczysku,
na... Siberya ci do twarzy. - Czy wiesz -
co masz zrobić? Będzieś siedział
w przedpokoju i meldować kaidęgo kto
prybedzie. - Spróbujemy. - Zamelduj
pania Lepage. -

Praktykant

(głosem chrapliwym i zgroźnym) - Pani Lepage!

Sydonia (smięjąc się)

Prawdziwie głós z fabryki. - Idź do przed-
pokoju! (sama) - Ale gdzie Rysler?
Fabryk musie nie spieczy! (chłirząc do
okna) - Ołóż znowu stanąć i hawi się z
dzieckiem swojej ubóstwionej pani fro-
mont. (puka niecierpliwie w rybę) - Prezej!
(oglądając się przelotnie) - Czy wszystko na
swojem miejscu? A może zanadto na
swojem miejscu. - Tak tu wygląda jak
gdymy nikt nie mieszkał. - Trzeba tym
meblom nadać trochę życia i ruchu.
Fabryk to tam jest na dole? A... ten
fotel na środku a na stole parę albumów
i dzienników ilustrowanych. —

Praktykant (zaczyna)

Pan Rysler starszy. —

Scena 2.
Sydonia - Rysler.

____ Rysler (zdziwiony)

Cóż się tu dzieje, czy on zwariował?
w własnym domu mnie męduje.

____ Sydonia.

Alex to onyżka. Wujek pan!

____ Rysler.

Wolałabym ~~sami~~? Karatas mnie wolać duszko?

____ Sydonia.

Juzem prosiła pana, abys mi nie mów.
wił ty, to nie w dobrym tonie. -

____ Rysler.

Ale ja jestem ~~sami~~. Ale jesteśmy sami.

____ Sydonia.

Tutedy nie. . . Wolałam pana, abys
nie karax przebrał. - Wpawikim gabi-
necie jest wszystko przygotowane. -

____ Rysler.

Pracownik ~~przebrał~~? Mam się przebrać

____ Sydonia.

Nie inaczej. . . dziś mój dzień recepcyjny.

Cemu pan tak na mnie patrysz? Moją
dzieć recepryjny, mówisz. - Pani Fromont
na swój, dlaczegoż ja bym go nie miała?
Rysler.

Slusznie, moje dziecko, slusznie. (zaniepokojony
ogląda się do kota) Dlatego te kwiaty wro-
dzie porostawiane, na schodach, w przed-
pokoju.

Sydonia.

Wszystko narazem je dziewny nie przy-
nieść z ogrodu - Czy może nie miałam
prawa? Sądzi, że kwiaty w ogrodzie ro-
snie do nas należa jak do innych. -

Rysler.

Zapewne, zapewne, mogłaś była jednak..
mogłaś pani... lepiej było może...

Sydonia.

Prosić o pozwolenie... czy tak?
Więc pan chce, abym się uprosiła dla
kilku rododendronów. - Widzę, że pan

nie potrafisz nigdy utrzymać nowego sta-
nowiska. — Chcesz koniecznie powrócić
konserwatem. — Dlatego to wyszedł od razu,
wciąż mi uci i ralewo mi głowa kłona
gdy przechodzi. — Ale co? Nie jestem
panią fromont. ... Nie mam ani
chłopaka, ani wsi, ani wili. —

Rusler.

Cóż się tyry poworn, wiesz doskonale, że
pani Ferrowa oddata ci swój do dyspo-
zyty.

Sydonia.

Ja nie chcę jej poworn.

Rusler.

A o wille możesz być spokojna. Upatry-
tem właśnie coś dla ciebie jako samego
Paryża jakos sobie ryzyta. Wiesz, Bonas-
del chce mi odstąpić swój dom w Bougi-
val na 50.000 fr. Jerry ma ten dom, po-
wiada, że to prawdziwe kacko. Otor je-
żeli rezultat nowego bilansu będzie kory-
stny... chociaż się wcale na to niezanosi.
Planus jakis niekontent, bo lata jak tygrys

za swojem bratkami z jednego kąta do drugiego. Chciałem z nim właśnie pomówić, ale zawołał: hu, hu, i nie mi nie odpowiedział. — Tęty ruka, ale bądź spokojna, pomimo tego będziesz mieć swoją wille. Skoro tylko wynajdziesz to, crego srukam.

Sydonia.

A ... Wynalarek pański?

Rysler: (smiejąc się)

Nicinnaczej pani, mój wynalarek dostarczy mi funduszu na wille dla pani.

Sydonia (zamiarując ci)

Rachuje na to ... a teraz idź się pan ubierać...

Rysler.

Kogóż ^{ty} się właściwie spodziewasz?

Sydonia.

Wszystkich dam z wielkiego świata prze-
myślowego jak u pani Fromont. —

Rysler.

Jak? ~~czy ona pomyśli~~ Aha! z nami
przejdzie także?

Sydoria.

No, spodziewam się.

To bardzo ładnie z jej Rysler.

strony. A jakże ~~pięknie~~ z jej strony.

Sydoria.

Pięknie? ... A jeżeliby tego, żeby ona
nie pomyślała? Czyż nie mądze się u niej
coś rodzi? Ale muszę dokonać się to
albo ... (tychaj pukanie do małych drzwi
kuchny)

Rysler.

Ktoś puka ^{naprawdę jakiś interes} ... to do mnie z Kantoru.

Sydoria.

Znowu nie pan spóźnie ...

Rysler.

O nie, bądź spokojna - będę gotów prędzej
od ciebie. (otwiera) A Planus!

Sydonia (na stronie)
Zawsze ten Rysler... węgół' on chce?
(odchodzi z wolna oglądając ci na Planusa)

Scena 3.
Planus-Rysler.
Planus.

(oczekując aż ci Sydonia oddali) - Mam
ci coś ważnego powiedzieć

Rysler.
Coi takiego takiego?
Planus.

Przypomnij sobie... mówitem ci
nie dawno, że mnie niepokoi postępo-
wanie frontu, że ci lekko zawi-
niać... że nie coś z nim dzieje...
Teraz wiem co to jest...

Rysler.
Jaki Coi więc?
Planus (pręży się)

20.
Jest pora temu Kobieta... Kobieta winna,
że wypuści z poradku, że się o nią nie
troszy... że interesu domni idą
Kulawo. -

Rysler.

Cys oszalał?... Kobieta! On co tak
kocha swoją żonę... i tak jest prze-
śliwy w porzeczni domowem. Dajcie
pokój, widzę, że pańki życia niepre-
staniez podejrzewać i nienawidzić Kobiet.
W interesie ruch ustal chwałowo, a więc spodniez
ka temu winna. Cicho byś siedział ty stary
nieprzyjacielu Kobiet.

Flamus.

Nie rzuć!... Mam dowody. Wi-
dziano wprawdzie pana Jerzego i je-
dym z matryki teatrów z Kobieta.

Rysler.

Z jaką Kobieta? Dama?

Flamus.

Naums.

Trudno było poznać... była ukryta w loży.

Rysler.

Któż ci to opowiadał? Ale kto mówi? ... kto ^{ja} widział?

Naums.

Wraj z naszych nadzorców. -

Rysler.

Ej plotki! Aż się wzięła plotka fabryczna. -

Naums.

Tak? ... plotka fabryczna! dobre... Ale sturkaj! ... porwie ci rós, w nie jest plotka fabryczna. Języbiene już od jankows' nasz ciałę piciniare z Nasz, dris' rariadał odcinanie 50 tysięcy franków. -

Rysler.

Spodriewam się, ie No... o dajes' mi je. mi dajes'.

Naums.

Nie mogłem mi dać... wuak on jest pa

nem... Ale uawo te 5000 franków?
~~Wygląda to podejrzanie. gdzie się podziały?~~
Rysler.

Gdzie się podziały? Coś to mnie albo
 sobie obchodzić może.

Planus.
 Nie by jesteś spółnikiem i masz prawo
 zadać wyjaśnienie i zrobić mu uwagę.

Rysler.
 O.
 Ze stanowiska współnika tak my-
 ślisz? Nie, stary, tego nigdy nie
 uczynię. Ja byłem niczem, czemu te-
 raz jestem rawnodziercem jemu. On jest
 Fromontem, a ja, ja jestem Risterem.
 Ktoś mu nawet przypisał mnie o
 kiej rebracy, a przynam, że miał do
 tego prawo nieraproczone.

Planus.
 Ha!... dobre... kiedy tak myślisz.
Rysler.

Jeżeli to prawda co mi opowie-

drیاتے، مگر زہ względu na pania Fromont
 kilka słów napomknąć i wrócić jego uwagi,
 ale otwarcie powiadam, że w to niewierzę.
 Skie... ja w to niewierzę.

Planus.

A ja mam pewność. - Jest poza tem
 rokita... i wynajde ją. -

Sreua 4.

Poprzedzający - Sydonia.

Sydonia.

(w świetnej toalecie do meksa) - Janto?
 poujeżere tutaj?

Rusler. Kam jeżere doryć crasu, widzi
 sama, że nikt nie nadchodzi.

Sydonia

Ale przybada. Jdź pou się ubrać!
 Pau ^{przebiegany} potxxchufxx panie Sygmunie!

Rusler.

Przepraszam cię, mój stary, ale drisiaj
 moja żona przyjmuje.

64.
~~receptyjny mojej żony.~~

Planus (xradiorienium)

A. ... Twoja żona przyjmuje? dobrze...
ide. ... (odchodzi matemi dzwoniąmi, wiel-
kie drzwi się otwierają)

Sydoria.

(chce kiedk ku drzwiom, lecz się reflektuje i
siada) - Ach już nadchodzi!

Rysler.

Amój Boże! a ja jeżem... (biegnie
w stronę swego pokoju)

Praktykant (meldując)

Państwo Ferdynandowie Chębe. —

Scena 5.

Sydoria (zawieszona)

A to wy?

Chębe.

Tak moja córko, to tylko my!

Rysler (pokonyuje się)

On nabawił się mi strachu niepotrze-
bnie... Myślałem, że jaka wiryta. —

Chébe (x guierem)
A exenwie to my jesteśmy, jeżeli nie
jesteśmy gościem? —
Rysler.

Oble owsem, owsem i do tego porządku-
mi. Teóri Rochany tescin dobre ci się po-
wodri?

Chébe.
Ale - wygnanie mnie zabija.

Rysler.
Wygnanie?

Chébe.
W Montrouge przy ulicy Krolowej. Sa-
driss, że to nie wygnanie?

Sydoria.
To twoja wina, ojciec! Chciałeś ma-
tego damku i świeżego powietrza dla
zdrowia! Miał pierwszy i drugi. —

Chębe.

O! jak mi pościła w gardle ten twój msta-
ły domostw razem z wiejskim powie-
trem, murami przedmieścia i forte-
ceni murami. - Dlatego przysie-
dłem, aby z Ryślerem pomówić. -
(Chębe go pod pachę)

Chębe Pani.

A co to za wieczna febra przymienna!
Zawręci i zawrę zmiennici! Jabyśmy
się nie ruszali z miejsca. - Mnie do-
wne wchodzić, gdzie jestem (do Sydonii)
Ale jakas' ty piekna! czy wychodzisz?
Sydonia.

Nie - przyjmuję. -

Pani Chębe.

To się będziemy znowu. -

Chębe.

(Przechodząc rozmowę z Ryślerem) - Jan...
radzicie ich znowu. - Widai to po nich,
że nas mają już dosyć. - Dlatego wygna-

li nas do Montrouge. - Ale i ja już
mam dosyć tego Montrouge. - Nie
jestem stworzony do życia porażonej
skiego. - Ja potrzebuję prawa, potrze-
buję rachunku i chleba handlowego. -
Muszę pracować, muszę brać udział
we wszystkim, co się koło mnie dzieje.
(do Ryslera) - Jeżeli mi chcesz moją
sinięć to mi wynajdziesz sklep i ma-
gazyu. -

Rysler.

Magazyu? .. na co?

Chère (zapalając się)

Na co magazyu? na co sklep? Bo
jestem kupcem mój panie! bo jestem
synem kupca, mój panie! Wiem co
odpowiesz... że nie mam handlu.
Ale czyż to wina? Gdyby ci, co mnie
jak lauratyka w domu wargatów, sam,
Kuceli w Montrouge, mieli byli rozum

i dali mi kapitał na przedsiębiorstwo.
(otwierają się drzwi)

Sydania (wstając)
Ach narekcie!

Praktykant (meldując)
Pan Delobelle! (Sydania siada z guście)

Scena 6.
Poprzedzający - Delobelle.

Chleb (wpadł)
Gregor! Ten chleb tu znów?

Delobelle (Mama się pociąga)
Witam panie! (na stronie) - To się na-
rywa kłótnia!

Rysler.
Dzien dobry ci mój przyjacielu, rzadki
i ciebie gości teraz.

Delobelle. (idzie do Ryslera)
Mam panu dobra oznajmić uowin.
Wyborną znałostem sposobować wystaw.

pienia świetne

Rysler.

A to mnie ciery. Pójdrziny wsrysey do
teatru podziwiać is. Iktór cię anga-
ruje?

Delobelle.

Sam się angażuje, i to w sposób naste-
pujący: Jest na przedaxi teatr w no-
wej dzielnicy miasta wiod Paryża.
Następem panu doskonały interes.
(bieżąc u boku)

Sydonia.

(śledząc u boku matki; do siebie) - Chyba mi
nie przychodzi, ani nawet pomyśleć.
O! niech no ona mi to zrobi!

Chęć (zbliżając się)

Ja pozwoleniem... mam parę
słów powiedzieć do mego kicia -
(bieżąc Ryslera pod pachę) - Mam plan
taki. - Wynajmę magazyn kszte,

47.
psem od ulicy i kaze na drzwiach przy-
bić tożsawemu literami ogłoszenie:
"Handel Komisyjny i eksportowy" ...
i potem ucieka. ~

Rusler.

Bardzo dobrze... to doskonała myśl... pan
czeka.

verve.

(chwytając Ruslera) - Tu masz pan
mój prospect. ... słuchaj uważnie!...

Chęć (wprawy)

To jak za wiele!

Delobelle.

"Rozmawiany spokojnie stan upadku,
do jakiego doszła sytuacja dramatu"
ma we francji i pewen wyglad na
przedstawieniu teatru Moliere
i naszym ..."

Chęć

(chwytając Ruslera) - Co w moim imieniu pro-
szyć będzie, matwie obchodzi. - Ten

i o'w wytresnuć będą very. -

Delobelle.

(x prosepctem w reku ucipia iis znovu Ryslera)
Łyskicu jaki interes pynisicie panu,
jest to, że nie będzie potrzebowat pła-
cić pierwszego bohatera. - Pierwszy boha-
ter... tu o'to stoi... Delobelle. Musim
panu wiedzić, że nie płaci pierwszemu
bohaterowi 20000 franków, a że nie bę-
dzie potrzebowat płacić pierwszego
bohatera, schował zatem do kieszeni
gotowe 20000 franków. - To nie kowbi-
narya... to fant panie! Tu są
listy

Chère.

Nie próbowa pójść do stowa... jak
się tu porobić tego (matręta) wargata?

Sydonia.

(x Kanapy do Ryslera) - Czy pan nie pój-
dzie się przebrać? -

42.
Chèbe (Kywo)

Otak... zapewne, musisz się prebrać.

Rysler (do Delobelle)

Mój przyjacielu widziś, że mi bardzo pilno.
Otworzę projekcie pomówimy później; przyjdź
do mego kantoru za parę dni, po ukończeniu
bilansu.

Delobelle.

Rozwaxi pan szybko!... czas uagli.

Chèbe

Przedzój mój xięciu! przedzój!...
przyjdź z tobą. (wypycha go do pokoju i
moiré do Delobelle zatraskując mu drzwi
przed nosem). - Inchar pan... to
przywilej tescia. —

Srewna Z.

Sydonia - P. Chèbe - Delobelle.

Delobelle.

Ote miessurshy!... przyrepili się teraz do

niego. . . a mnie figa. . . ale na wszelki
wypadek zostawię mu prospect. (dobryra pros-
pekt z Kierseu i' Kładoz go na stole zolixia
się do domu) - Jakże przesłane urządzenie!
Nie pani, żeby tu wypornie dać się umie-
ścić teatr salowory. - Pani nigdy za-
perne nie myślałaś o tem? A ukoda.
Zawise pani mówić, że jest w niej
materjał na artystkę. -

Sydonia.

Artystka? . . . To nie - ale myślałam
wziąć kilka lekki' spiewu. - Pani
fronant spiewa. . . a ja. . .

Delobelle. -

W takim razie mam nogos dla pani.
Może pani nastreczyć znakomita
mistrzynie pania Tolson, damy. . .
bardzo dystyngowana dama. - Nie
ma ona głosu, ale do spiewu głos dris'
jest zażytecznym. - Nie głosu potrzeba

44.
ale wykładu, frazowania, wyrazu. —
Ja na przykład, nie mam całkiem głę-
bi a spiewałem z ogromnem powodze-
niem cały repertuar operowy. — Wy-
kładałem nawet umiarkowane, godne
podziwu elewois. — Tylko z biednej mo-
jej córki nie zrobić nie mogłem. —

Pani Chère.

A propos panie Delobelle! Oczemu nam
nie przyprowadzić Desydey do Mou-
rouge? Mało wrywa świeżego powie-
trza... biedne dziecko! Ostatni
raz znalazłam ją bladą. —

Delobelle. (uśmiech)

Otar... za wiele pracuje. — Oczemu
i martwić się tym. Ale ktoś ją zdola
powstrzymać? Jest to istna córka mo-
ja, moja krew. — Tona ^{małory} walczy za świe-
tłą sprawę sztuki. —

Scena 8.
Poprzedzający - Chębe-Rysler.

(Chębe wypada w nadzwyczajnym uniesieniu
 z otoczenia najekscytownym, Rysler biegnie za
 nim, aby go utagodzić, chce podważyć tego wia-
 gnać na siebie frank)

Rysler.
 Panie Chębe! Panie Chębe.

Chębe.
 Daj mi pokój mówić ci.

Pani Chębe (stworzona)
 A mój Boże! wiaż znova nowego? Jakże
 można tak znowu biegać tam i z tam!

Chębe.
 Zawsze niesprawiedliwie! Niecierpliwość!
 ucieszenie!

Rysler (umkając znova ufrank)
 Alena — Zgadnie znova.

Chębe.
 Odnowić teściowi uciążliwej pryncypia

46.
intnatue przedsiębiorstwo!

Rysler (jak wyżej)

Ja nie odważam, prositem tylko o cierpliwość, dopóki się nie dowiem o rezultacie bilansu.

1" Chęć.

A tymczasem stwórz się salony... zankła...
da się nawet teatr!

(Słychać dźwięki)

Sydonia.

Proszę cię ojciec!... zadzwonić...
goście idą. -

Chęć (z grotem niewiechem)

Otak... przyrzuć gości, a nas za
drzwi wypychaj. -

Sydonia.

(nie słuchając go do meza) - A pan jeszcze
nie we fraku?

Rysler.

(w ciągłej ekscytacji) - Kieruję moją

znaleźć tego ^{nierozumnego} ~~wiecznego~~ renowa
(wybiega) —

Sydomia.

Otak mój Kochany! wroci lepiej, jak
dawniej do ryzowania włosów, to wia-
ściwsze dla ciebie. —

Prantymant (melduje)

Pani Genowa proutant.

Sydomia.

(Koraca się mimowolnym ruchem ku rodzicom)

Ach!

Chębe.

Chodź znowo, chodź!... widzisz, że nas
się wstydzisz. —

Pani Chębe.

(z trudnością się podnosi) — Chodźmy!

Sydomia

(do Klary) — Racz panuusiąść prosię. ...

Chębe

(do Adolofelle) — Pan zostajeś? co? —

Delovelle.

Nie - ale xnam s'wiat. . . chce poiegnac
 damy - (wystepujac naprod' Klara i Kla-
 rze) - moje uszanowanie! (do Sydonii) -
moje uszanowanie! (odchylajac na stro-
nie) - Od waszch dalmi niek' sie tam nie
 uklonil. —

Scena 9.Sydonia - i Klara.

Pani tak gorko! Nie mam zapewne
 prawa xkalac' sie. Teraz moge rac'
 Kiem pozwielic' sie pani; kiedy przed kil'
 ka minutami. . .

Klara.

Mialas' pani lieme towarzystwo. . .

Sydonia.

Barro lieme. —

Klara (rozgladajac sie)

Juz' sie pani calkiem anadritas. . . bardzo ladnie

Sydonia.

Czy doprawdy? —

Klara.

Catwsi' dobre robi wrazenie.

Sydonia.

Catwsi'... ale niegdy? Powiedzi mi
pani otwarcie troje zdanie.

Klara.

Chcesz pani tego?

Sydonia

Trocha. —

Klara

Wiem ze to jest następnym narodziu
dzenia. Lecz trocha zachowaj pierwsza
harmonie między otoczeniem i sobą samą.
Tu na przykład masz pani zbyt Kryckie
obicie, które wyklucza pierwsze toalety. —
Czy nie chcesz wziąć na siebie co więcej,
niego wobec tej jasnej czerwieni?

Sydonia.

(spoglądając z zaniepokojeniem na swe ubranie)
Przemysławie mam kolor niebieski, a na-
wet dursz niebieskiego na sobie. -

Klara.

O moja droga! przecież nie do tego mówię,
Tam. - Przecież toaletta twoja jest
prześliczna. -

Sydonia.

Prześliczna!... czy nie ma w niej jeszcze
niedociągów? Potrzebuje dobrej rady, a nie
jesteś pewna... -

Klara.

Nie - zapewniam panią, nie widzę nic...
chyba tylko... -

Sydonia.

To jest?

Klara.

Jesteś trochę za strojna jak na gospody-
nię domu. - Powiedziałyby, że chcesz się
ma u siebie być i wixyta... Susegól!

nie ubranie głowy! ... Precież nie i-
dxiech pani na bal? Pocięte włosy?
Myśle, że się pani nie obrażasz?

Sydonia.

Precież sama o to prosiłam

Marja.

Ożenu nie wzięłaś prostych włosów, w
których ci tak ładnie? Wierzę mi, że
chyt jesteś piękna, abyś potrzebowała do-
datku. - Jedynym jeszcze powieściu. -

Sydonia.

Powieść pani, powieść!

Marja (ciszej)

chojąc takie coś, prosi je podmalowywać.

Sydonia.

Podmalowywać? ... nie wiem o tem.

Marja (zmniejszając głos)

Zartujesz. (próczniej i gorzej) Widziałam
moją drogą! Nie należy nam zapomnieć,
naci, że jesteś myślną i kupiła, bogda

82.
tych Ruprów zapewne, ale ludzi pracują-
cych. Życemy w świecie wypieku i trudów,
wszęd robotników, których życie jest gor-
kie. Musimy więc zachować pewną
prostotę. —

Sydonia.

Mała pani! Tęsknię.

Mała.

Miałabym ci jeszcze nie jedno powiedzieć
ale ci nigdy nie widzę — Czeko wycho-
dziś (zamiar) mnie za cześć. —
Ale pogawędzimy o tem tego lata, gdy
spodoba mi się, że ci jakis' raz bede
miała na wci u siebie. —

Sydonia.

Prawda, pani! wkrótce wyjedźdź. —

Mała.

Jedziemy jutro... jakże ja się z tego
riem! Po długiej zimie parę dni.
Po tem wielkim w dymie fabryki,

jaśnie to miło znaleźć się wreszcie w
Savigny, blaski się po starym parku,
gdzie zawsze te same Kwiaty na tym
samym miejscu od dzieciństwa spoty-
kamy i te wody tryski, gazony, gaje, i ca-
ły ten kwiśnec zielony, w który wplecione
są wspomnienia całego mego życia. —

Sydonia.

Musiło być doprawdy bardzo miłe uczucie,
mieć tam piękna posiadłość jak pani.

Klara.

Więc mi, że w najmniejszym natku równie
byłabym exxessliwa. Dobie życie więcnie, gdzie
się ma czas żyć i sposobność myśleć. W Pary-
żu ma się ciągłą febre, która zmusza do
tę bez celu i mówić bez myśli. Czy jest się
na przykład matką w Paryżu? Jest się tu
żoną. — Dla wieczorów, towarzystwa, teatru
opuszczam dziecko koniecznie i błądę
się o wiele prężej od niego. — Interesuję

rywaja mi codziennie mecha, wiezorem idzie
do Klubu - dzieniscieci wiezorow nie prze-
pędziliśmy razem przez całą zimę. -

Sydonia (żywa)

Doprawdy?

Klara.

Ale nie tein nie martwie, wieś zawsze
mi go wróci. -

Sydonia.

Czy i pan wspomut tak lubi życie wiejskie?

Klara.

O! i jał jeszcze? W Savignu, żony już mi
jest ten sam. Młodzieje, nabiera wesoło-
ści, słowem przeobraża się całkiem.
Wypiadają z wagonu w dworcu, gdzie
exclam. na niego z powrotem karak
otrąca się z ciarą i łoska wziętywa
się z para lokomotywy. -

10.
Scena 13. -

Poprzedożaj. Jerry fromout.

Jerry (za drzwiemi)

Tasunaj! ... ja wchodzę bez meldowania.

Młara.

A. ... to Jerry!

Jerry.

Mam interes do Rylera ... czyż nie ma?

Sydonia.

Sadzę, że jest w swoim gabinecie. ... jeżeli
pau chce chwilę spocząć ... zobacz. ~
(zbliżając się ku drzwiom, do Młary) - Paui po-
zwoli?

Młara (przeznacznie)

Proszę ... i tak musicie państwo po-
jechać. ... tyle jeszcze przed odjazdem
mam do czynienia (do Jerry) - Nie
prawda mezu, że państwo Rylerowie
muszą koniecznie kilka dni u nas
wci pozostać?

Jerry.

Naturalnie.

Klara (do Sydonii)

A więc reż utwórca, liść na piśmie...
a teraz do widzenia. - Wyjechałam ju-
tro dopiero o południu. - Żeeli macie
wolni chwilę...

Sydonia.

(zmarazając się do apasjowości) - Przyje-
niezawodnie pamią, przequać. -

(Klara odchodzi, Sydonia doprowadza ją do
drzwi) - A! przećcie!

Jery.

Co ci jest?

Sydonia.

O! was już był, aby odejść! Nie
zostanę tego dłużej. Jakże mi
głęboko temu swojemu szwarcu!...
wydobywała jak z kramu te sielanki
swoje roznoszące, swoje bogactwa, gar-
ny, wosotryski!... wypycha te wzpami.

Łósci, które z ulicy tylko widywałam jak
 żebraczka. Stuchając jej przypominiałam
 sobie wień mój dziecienny, kiedy zają-
 cem wśród smutnych uanych prze-
 chadzek wieńielnych stawałam
 przed starościami zauru - jak to tam
 zagładałam ciemawie. - Taka byłam
 i taka pozostałam, marząc, pa-
 trząc na sukcesie innych i nie mogąc
 mojej wreszcie odzyskać. O! wielka to
 prawda! ubóstwo jest hańbą, której
 się pozbyć nie można (tytuł z gnie-
 nem uogami)

Żeny.

Ktożby mógłby kto przyjąć i ułżyć...

Sydoria.

Przyjąć? i Ktożby ma przyjąć? Czy się do
 mnie przychodzi? ... Dziś mój dzień
 recepcyjny. . . od 4 godzin ciekaw...
 i nie widziałam nikogo, prócz ojca

88.
mego z wieciami skargami na ustach
i starego komedyanta Delobelle... Tuie,
exue otoczenie! w które mnie życie na-
ca nieustannie naprowadza, idę i u-
cuję uciec z niego (chodzi wielkimi
prokami) - Nieuawidzę tej kłopoty! I
jakaż lubością upokarzana mnie swo-
jemi uwadkami, swojemi puentami,
mi. Wyrzucił ^{skryty kawałek} ~~strutynarstwo~~: moje me-
ble, moja toaleta, moja trasa. Mnie-
sza o to! Prawda, że nie mam gustu,
nie umiem się ubierać, przetrącam
w stroju... ale mnie kochają a jej
nie... Bo ty mnie kochasz? -
Nieprawdą? —

Żeny.

Czy cię kocham? Wiesz aż nadto do-
brze, że mi droższa jesteś nad wszystko,
bo, że jesteś mojem pragnieniem
mojej myśli. —

Sydoria.

Czy to wistocie prawda? Owa twierdzi, że
na wsi jestes dla niej nadzwyczajnie
serdecznym. - Opowiadała mi o całym
zapotem, jak zawere wrocac do Savi-
guy, jakie poufne robicie wyścinki w
wątym ducie matczuśskim zapotem,
a nie o Sanyzu i wszystkich, którzy tu
przostali. -

Jenny (mepca)

O nie mój tygo. Maluje obraz pieszczoty.

Sydoria.

Pieszczota ta jeszcze jest tak bliska, tak
obecna. - Nie to idylliczne rajskie życie
na wsi pieszczoty same. - Jest ona zbyt
perna, że cię tam zaoru oświadcze. -
Nie chce, żebyś jechał na wies. Co by
cię stało z murem, gdybyś nie utracił?
Powiedz, że mi pojedziesz. -

Jenny.

To być nie może Sydomia! życie ma
 pewne wymagania. —

Sydomia.

Opatrzona będnie wszelkimi? (pytaniem,
uym głosem) — Tak musi być dobre błądząc
 nie we dwoje pod drzewami parku, ody
 chaci' wami' uocy majowej i' sieptaci'
 cicho w cieniu olei. — Ręka w ręce bez in
 nej podpory jak okochane ramie, które
 drży w uścisku, bez innych siostrat jak
 dwoje miłością promieniących osób
 które patra na was zbliżna. — O mój dro
 gi! czemuś nie mogła miłości na
 mej dać tego uroczego tła pięknej wa
 tury! Oczuj, że wtedy Kochałabyś mnie
 więcej. —

Żeny (cicho)

Ja... nie — może ty... ja nie. —

Sydomia.

Ale nie — marzenie to jest niepodobnem. —

(wstaje idzie Milna prokno, potem ogladajac
sie, moiri i gonkim usmiechem). Mite
tu poprzedze lato!... Jakich to blygie
uczenie widziec nie odjedzajacego
codziennie i pomyslec, ze ci tam one,
Kupa, kiedy ja wieczory pneteskuiać be-
de sama jedna w dusznem powietru
letniego Paryza - Paryza ubogich... Ha!

Jenry.

Ale ty tu nie zostaniesz, i ty mieć be-
dziesz własna wile, piękne uroczyska,
decudo, gdzie nie odwiedzać beda.

Sydomia.

Jakże ja pójść mogę do wili?

Jenry.

Jan? ... przez twego mecia.

Sydomia.

Alex ou nie ma pięknądy.

Jenry.

Musi ci kupić wile.

BIBLIOTEKA TEATRALNA

Własność Gminy m. Lwowa.

Sydonia.

Czyi to być może?

Jerry.

Carax się przekonał (wsta) Rysler!
Rysler!

Scena 12.

Jerry - Sydonia - Rysler.

Rysler (zamiatając się)

A to pan, panie Jerry. Nie wie-
działem kto tu jest. (patrzy na Sydonię)
Co ci to serce? Zdajesz się być rodu-
miona, pewnie dla tego, że nikt nie przy-
szedł z wiryta. Nie dziwne go, pierwszy
raz dzisiaj przyjmiesz.

Jerry.

A potem pora bardzo spóźniona, wrzysk
nie dany są już albo na wsi, albo ma-
ją wyjechać. —

Rysler.

Tst, cicho, nie mów pan tego przy niej,

bo ona i tak już dosyć niesrzesliwa,
że nie może wyjechać na wies'. Chy-
statem wprawdzie o nabyciu dla niej
willi Bonardella ...

Jeny.

Mówiles' mi o tem. Byłoby to Rony-
stue Kupus ... co cię więc wstrzymuje?

Rysler. Ej do Bata Bilans. Planus
powiada, że wypadnie nienajlepiej.

Jeny.

O! nie trzeć się o to. Planus nigdy
nie kontent. Chciałby mieć miliony
nadryżki ... Wreszcie nie możemy
się ukarcić. Na pierwszy rok naszej
epoki, więc takowy jest rezultat. -

Rysler.

Bilans skromny? i co?

Jeny.

Mamy do pobrania 100,000 franków

Rysler.

94.
Sto tysięcy fr. Czy podobna? A Pla-
nus tak mnie przeraził swojemi obro-
pnemi minami, że spodziewałem się
straty, a nie ryzyku... nie miałem na-
wet odwagi zapytać go.

Geny (zypor)

Nie potrzebuję z nim mówić o tem.
Mieliszmy gotówkę w Kasie. Podziwistem
trochę więcej i pąkować się o 50000 frank.

Rysler.

50.000 fr. więc to dla mnie rarytates
pan pieniędzy od Planusa?

Geny.

Naturalnie - Myślałem o wili.

Rysler.

Ah! wybornie! co pręwybornie!
Wyobraź pan sobie, że Planus.. że
nie bedriessz się pan gniewał na niego,
znasz jego manys, we wsrystkiem hi-
bi upatrywac wpływ kobiety... Otóż
uważasz pan ten stary warjat uroził
sobie, że te 50.000 fr. były dla... hm..

przerwaczone ... dla ... (cieko) dla pewnej
danej. To doskonałe co? Ale teraz
niema ani chwili do stracenia, trzeba
natychmiast uwiadomic Bonardela.

... pisanie - Plausu narzuca ci w malych druzkach

Scena 13.

Poprzedzajacy-Plaus.

Plaus.

Ory wolno? (wchodzi)- Panowie. Zanim
zaukluc nas, chce przedlozyc rezultat bio-
lausu. —

Geny.

(biene papier, który Plaus podaje)- Dobrze
Lyzguncie! Pana Rylera zaznajomi-
tem juze z sytuacja. —

Ryler. (zinięta us)

Tak, tak, wiem o wszystkim. Ty stary
podstępny lisie... ty... A nie mówitem
ci, że niewierz w te twoje bajki ko-
biec. Wier ty dla nogi były przerwac-

prone te 50.000 fr. które się takiego strachu nabawiły? Dla mnie, dla mnie, to mój udział w ryzyku wspólki, który Jerry podjął umyślnie przed czasem, ażeby mi zrobić niespodziankę.

Planus (zdumiony)
Gdzie? co?

Jerry (uciekając po chwili)
Ale tak jest. tak jest. —
Ryder.

Jedzie, idź ty blumierczy Jerry'ku. Biekaż, muszę ci dać za to naucek, za karę napiszesz mi list do Bonardela, z wiadomościem, że kupuje od niego willę w Bougival i oczekuje go jutro o dwunastej u notariusza. Ah co za przesłanie, to mi prawdziwa niespodzianka! Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Panie Jerry przejdźmy się po ogrodzie. Idziesz z nami Cydonie? (odchodzi)

Cydonie.
Chciał (idzie za obydwojema oglądając się za siebie)

Scena 14.

Planus sam-potem Sydonia.

Sydonia. Planus

Co to byt? Co uie to dzieje? Czym szalony!
 Przykuje Ryslerowi 50,000 franków jako u-
 dziel w zysku, wiedząc, że są straty. - Pocz-
 to kłamstwo? (długa pauza) - Ha! Kobi-
 ta, która z nim widziała, która uie ukry-
 wała... miałyby być?... Jan, to
 ona a nie inna! Teraz widzę jasno.
 Ale to hańbi mnie! To być nie mogę! Po-
 wiem Ryslerowi, że białos fakszowy. Jest
 to mój obowiązek. (pauza - decz potem -
 potem zrozumie, że go żona oszukuje z
 jego współwicelem, z jego przyjaciółmi. -
 Nie- uie; to być nie mogę. Jego nie
 pozwolę na sobie. Jedem tylko mogę
 tu powołać... brat jego Franciszek.
 Maci przyjechać! upiarko do niego. -

Sydonia.

(ukłony się w głęb) - Coż panie Planus!
napisał już?

Planus.

(strachnym wyrazem, zgrzytając) - Nie-pani!...
ale napiszę. -

Lastow spada.

Akt III.

Franz von
m. Rogen

Wła. Sydonia w Bougival. Wjeżdżają całą drogą
z drzwiami na verandę, otwarte drzwi wiel,
Nie na prawo i na lewo - główne drzwi bardzo cięż,
rodzie - na lewo kanapa - w środku stoł o okrągły, po
obu stronach kucyki - na prawo z przodu fortepian
Wtyle wielki fotel na bieżniach (do dotycania się) -
Sydonia w matym kapeluszu, krótkiej sukni, w
eleganckim kostiumie wiosłarskim. -

Scena 1.

(Sydonia stoi po prawej stronie przed fortepianem,

przy którym siedzi pani Dobson; na lewo przy stole
siedzi pani Chebe i antoda ekspresetel - w głębi Che,
bezwzględnie na amerykańskim fotelu w ogrom-
nym kąpielni na głowie - przed nią, trzymając wielki
dzwonik, który mu głowę kładzie - ten palac
wychodzi na werandzie, niepodobny, ciagle wcho-
dzi i wychodzi) -

Pani Dobson.

Słuchaj tej piosenki, która spiewaliśmy jest -
„Przytę” - Bardzo ładna. ! Sympatam
ja w Ameryce. -

Sydonia.

Czy tam tak bardzo lubią muzykę?

Pani Dobson.

Najbardziej nie - ale to arietki i ku-
plety robią tam furorę. W San Francisco
jest Café-chantant, wspaniałe,
są tu tutaj wielka opera. - Wierzę
mi panstwo, gdyby się tam pojawiła Pary-
żanka i toalety, kraczącą uwagę, i

Trocha klejnotów i z ciemna tylko niteczna,
głosu, mogłaby obrywnie mieć powódke,
nie. - No racynajmy, rax, dwa. . .

Sydonia

(epiewa tylko jedną strofę) -

„Oua jank refir biegnie - ou goni,
„Stodniemi stony usko jej' techce,
„Oua sie z quicrem ukartatym ploni,
„Ou blaga - oua stuchac' go mi chce.“

Tani Dobson.

Slizmie! wyborwie! Tylko troche zysne
tempo, ot tak. - (ucimexxovox)

Yery

(ruszając rygaro do ogrodu) - Obrydlivy
sinak. . . prawić do Café - chantant. -

Tani Chébe.

(ankladając jadłospis) - Na pierwsze danie
„Sol à la Normande.“ Potem „filet à la
milanaise“ - ale zdaje mi się, że p. Rysler
tego mi lubi. (do Sydonii) - Sydoniu! czy

maxi trój' lubi, "filèt à la milanaise" ?

Sydomia.

Moż' maxi filèt à la milanaise ? Skądie
ja mam o tem wiedzieć ? Dziwne py-
tanie ! Coż' mnie to obchodzi ? (wzrę-
cąc z panie, dobron, obie się śmieją)

Pani Chèbe.

(do Fromonta) - A pan, panie Jery !
lubił' filèt à la milanaise ?

Jery.

(chodząc nieprędko i tam i napowrót)

Wszystko co pani chce. -

Pani Chèbe.

A więc dobrze... filèt à la milanaise.

Chèbe

(zinytowany spogląda groźnie zza drzewnika)

A mnie się nie pytają, czy lubię ?

Pani Chèbe.

Bo wiem, że lubisz. -

Chèbe.

Dobrze, dobrze . . . Odnoś jestem u córki
mojej w Rougival, przyrzekłem już do tego
pomijania. - Tu każdy roznazuje, tylko
ja muszę się kurzyć. (wyciąga ci cygaro)

Pani Dobson (do Sydonii)

Z pewnością znów tam pojedę. - Widzisz!
Kobieta posiadająca zmysł niepodległy,
ści, kobieta goniona za wystąpieniem, co
nieprawdliwe, może żyć tylko w Amie,
ryce. - Dla ciebie byłoby to dopiero życie!
puścić wodze kaprysom i pędzić dalej i
dalej! . . . Gdyby los był ciebie w innych
postawił warunkach, jakże ualoune mia.
Łabyś porównanie z tym pełną Kori pa,
ryskim sposobem mówienia, skądś, u
abierania się. - Zrobiłabyś rewolucję
w Kalifornii. —

Sydonia (zwracając ci)

Pochlebstwo.

Pani Dobson.

Czysta prawda . . . rzeczy. —

Jerry.

(zobliżywszy się do fortepianu mojego do Sydonii
cicho i łagajęco) — Sydonio!

Sydonia.

Orego? co ci jest? Taki dźwięk tragiczny
jesteś! —

Jerry.

Nie chcesz mi, ani chwili darować?

Sydonia.

Orego! chcesz jechać . . . moim pługiem
wziąć sobie ładną suknę. — Kazałam
sobie zrobić nowy kostium . . . dla
ciebie . . . patrz!

Pani Dobson.

Siemnie u nim wygląda . . . widziales
panie Fromont?

Jerry.

Nie pani! Znajduję i jej kostium ten
nie do twarzy. —

Sydoria.

A. 'idzi' pan ... jętes' w tym humorze.
(spiewa powyższą strofę)

Scena 2.

Poprzedzający Delobelle (wchodzi z na tarasie)
Delobelle.

(mowiąc poza sceną) - Nie dzieci! To nie
Tadzio! (wchodzi z głową gołą w ekscentrycznej
toalecie letniej z elegancką torbą wieczną w ręku
moimsk poza kotłowną)

Pani Chębe.

A panna Deryderya? pani Delobelle,
gdzieś ja zostawiła? -

Delobelle. -

Jest tam ... w ogrodzie. Nie można
ją ruszyć z miejsca. - Nie dzieci! dzieci
na wsi ... Rędu dziecięco! od lat
już ja nie było jej tam dobrze. (idzie do
portierni) Widzisz dobra moja pani Dobron

za wielki Mładziec nacisk na śpiew... za
 wielki! mieć zwracać uwagi na ry-
 rax. - Putanaya, atakowanie, głos, to
 są kardynalne poditawy. - Grać trochę,
 działać, być w sytuacji... w tem leży
 skutek. - Coś jest w piórze, która lu-
 bix śpiewać. - Janis daady biegnie za
 młoda kobieta, pygnęła jej się, ona
 grozi, gniewa się i goni. - Janie
 tam tekst opiewa? (bienie mity xantona
da piere - ucc i deklamuje x pnerada.)

„Aaa jak xefis biegnie - au goni.”
 „Stodkiem stowy nasz jej techre,”
 „Aaa się x gniewu ukartatem ptowi,”
 „Au btaga - aua... słuchaj go mł chce.” —
 Mładziec pami, że młkiem nie śpiewam.
 Śpiewać byłoby lu rytecznem. Śpiewam
 oczami, które błysną, słozami, które się
 rozlatują, rękami, które kłanują. —
 (Oryta pierwszy wiersz drugiej strofy). Co za

bech eluosi! rachuie dau' ona. Troche
pishrawe... ale pchuie goduoci, wiera
pani! pchuie goduoci. — Rachu pani
powtorys'. (Sydania powtara o' pierwszy wiera)

Delobelle.

Wypowuie. (dopani dobru). Tricha tylko
talent ten rozwi^{rac}ac. — Aua, ona krew
artystyczna w zylach. —

Chiebe.

(wychyla glowe z proga dxiennika). Co pan
chcech powec to powiedziec? he panie?
nie korominaj, nie miel z rodu Chiebois
nie stapił nogu na ziemi. —

Delobelle.

Tem gorzej panie! Ja nie chetnie, kemu
nigdy nie sceny nie stapił. —

Chiebe.

Nie stapił!... a od pietnastu lat
nie kaangaxowauy. —

Delobelle (obrahowy)

Mój panie !

Chère (groźnie)

Mój panie !

Pani Chère.

Ale Ferdynandzie ! nie spieraj się tak nam
to było spokojnie . . .

Sydonia (do pani Dobson)

Zauwaj pani Fortepian. Tu niepodobna
spiewać . . . (do starszających) - Na staw
więc ! kto chce. (do Delobelle) - Musisz
pan wioślować, panie Delobelle ?

Delobelle.

Artysta wystro musi umieć . . . Sądząc,
pęchtuje się, jechanie konno . . .

Sydonia.

Ale ja się pytam czy pan wiośłujesz ?

Delobelle.

Trzecie razy z kolei grabe w Perpignan
rolę Pietra w „Niemcy z Portiny“, a to trochę
trudniej niż sterować łódką w Bougival. —

Sydonia.

No to pała wezmę. (przechodząc do Jerzego). Nic
idziesz?

Jerzy.

Sty isotnie Sydonio chce. . .

Sydonia.

Nadzieję mnie mój Kochany! Widocznie
stworzony jesteś na mego. . . No chodź! —
mnie? to dwoje! . . . jaś ci nie powie.
(wstała do ogrodu) — Klucza od Łódki! wioś! —
(schodzi z terasu). —

Jerzy (w bezsilnym gniewie)

Jesteś niedzielnikiem! (wstając) — Sydonio!
poczekaj! —

Scena 3.

Chebe i Pani Chebe.

Chebe.

(wstawiając idzie naprzód sceny, między drzewami
i chodząc do Kierseu) — Jakiś to łowcy stróża

109 55
nauczyć córki! Pokazywać się publicznie z
komedyantem i ze śpiewaczką, która cię
przyjanie... Olegowi tu chce ten Delobelle
z niesmiertelnym swoim teatrem? Koba,
rysę, że w końcu Rysler kupi mu teatr.
Kiedy pomyśle, że go prawie za wstępy cią-
gnąć musiatem, żeby mi ujął uduchy
magazynu!

Tani Chebe.

Poco się skarżyć?... Masek już ma-
gazyń, ale wist że w nim nie widział.

Chebe.

Bo się tam duszę. - Jam nie stronowy do
tego kamunistego życia, do tego sie-
cego handlu. Mnie potrzebna czynność,
rachu, składowanie i jędrzenie na interesach
(chodzi wielkim krokiem tam i napowrót). —

Powróćcie tu przybli do tego domu, gdzie
paszycie sknera jak kłasy w jędrząc, kawa-
bieci lekromyslinością trójcy córki. —

Pani Chebe.

Lekkomysławsia mojej córki! -

Chebe.

Tak lekkomysławsia twojej córki. - Ten
pan Jerry był tu nie tu rozposciera. -

Pani Chebe.

Co ty mówisz? Nie masz już mi lepszego
do wyuczenia, jak mnie intrygować twoi-
mi wymysłami? Czyś ty mi choć na
chwilę spokój zostawić!

Chebe.

O! zapewne! ... ty mi widzisz, od-
różnia odrobina doarego bytu. - Mówię
ci, że ten fraumout bardzo wistliwoty...

Pani Chebe.

Może w tem jest i coś prawdy. - Tak-
max stusnuć... Sydonia bardzo
kochające spółnika. -

Chebe.

Kochające? tego mi pośrednicem. —

Pani Chębe.

Co ? mić powiadates ? —

Chębe.

Nie - mić powiadatem, że Sydomia jest no-
nietha. — A gdyby mić i była. . . co nas
to obchodzi ? Cośna nasza jest mierzana,
razem jest jej mierz, który o tyle od niej
starszy nadzieć jej i nierować mić. —
Ale czy on pomyślał nawet o tem ? — Nie-
mić wie o nim, mić mierz się do ni-
wego, jak gość wchodzi i wychodzi i ani
go widać ani słychać. . . Gdzie jest
w tej chwili ? Zapewne na jakimś
podwórku przy robotach. . . on go po-
daje i przywraca ! i do tego w niedzielę.
Ale jak nie już raz w zballeraję. . .

Pani Chębe.

Moż w mierz. . . ale Sydomia jest
bardzo mierzowa. — Widzę teraz-
leżam się dla niej słych języków. —

Chébe (obrony)

Co? złych języków! (cóż ci wrok w tył) - Tani!
 nozymam iś jedynand Chébe!

Tani Chébe (pwaraxona)

Naturalnie... wiem. -

Chébe.

Nazywam iś jedynand Chébe. - a lat 30.
 zaway jectem w świecie Kupieckim i nie
 dozwolę, aby iś osmiciłano spotwaraci mo-
 je córke. -

Tani Chébe.

Lech w Kwiecu, Kochany mój mui mui
 proscié . . .

Chébe (checia odejść)

Nie - mówią ci . . . nie mogą tego
 stuchai' . . . (waracizani era goxete.)

Tani Chébe.

Proscié mi cytalicih jezuse . . .

Chébe

To mi wyszło jedno! (odchodząc)

Spotwarzac' roste moje z domu Chébe!
 (wychodzi majestatycznie głóuemi drzwiami)

Scena 4.

Pani Chébe - wchodzi Deryderya.

Pani Chébe.

(obraca się i wie prostego jaxi mecia) - Jaxi
 go nie ma - ten mój mąż, to istny
 zyd wiecmy tutaj. -

Deryderya

(wchodzi z kwiatami w ręku) - Czy ojciec
 mój odchodzi?

Pani Chébe.

Tak jest moje dziecko! odbywa z praniem,
 mi spacer wodny. - Nie chceś iść za nim?

Deryderya.

(siada stada kwiaty na podłogę) - Dziękuję.
 Zuczyłam się trochę. - Nie porywajłam
 dachy ródzić. -

Pani Chébe.

Pani Chebe.

Prawda . . . biedaurna ! Bardzo
wychodisz z domu . . . Inutue per-
drix iypie. -

Deryderya.

Owie - rewe pani . . .

Pani Chebe.

Kawere zamkniesz, kawere siedzisz.
Mniebyto jeżere, bo ja sama ruszac
się nie lubię . . . Ale być tak samotna !

Deryderya.

Mam i ja swoje rozrywki. - Posuwam
wielki fotel nieboczki matki ku oknu
i przy robocie przeglądam na dachy i
wokna sąsiadów i interesuję się lu-
дьми, którzy przechodzą ulicą. - Wypsey
sa pyjaciwimi moimi, chodzą o
tę nie wiedzą. - Znam ich, wiem do-
kąd idą, o której godzinie wracają, a
wreszcie chociaż nieśmiałym na 5^{tem}

piętro i schody drzi' za ciebie, więc
wam jednak miłego gościa, co się na-
zywa nadzieją i od nasu do nasu za-
gląda do siebie. — Wtedy matka, nie
biedny mój ojciec zwiata z angażo-
wanymi, że ci, których Kocham się mieć
iżwi. . . i niejedno jeszcze obok tego.

Pani Chebe (Kwajac głowa)

Było ci jednak wszelki; gdyśmy wszyscy
mieszkałi na jednym ganku: Chebo-
wie, Rysler. — Jam się to teraz wszystko
rozproszyło. —

Dexyderya.

(z westchnieniem) — Prawda . . . Łaska,
leko od siebie . . .

Pani Chebe.

A ten porciwy Franciszek! Pamiętał
jaki był upiecznym i miłym. — Musi
ci go bardzo brakować — Wierzę
gdyś obie z biedną twą matką,

Franciszek (cergo)

Próbuję z Egiptu... Gdzie jest mój
brat?

Pani Elżb.

Jest tu... (połączając na Derydery, Alła,
na stoi zmiczna) - Derydery! Francis-
zek! wiesz przynajmniej Franciszek. - Nic-
cież mu nie powiesz? Stoić jak ślep
soli... Coż jej jest? tak zbladła. -
(Nie wiem do niej)

Franciszek.

(Zalixa tu do Derydery) - Derydery!

Derydery.

To mi... to mi! odurzył mnie za,
pach kwiatoir, którego oddycham dłu-
go. (Zachwyta siebie twarz zębami). -

Scena 6.

Franciszek - Derydery (długa pauza)

Franciszek. -

(ciada obok derydery, która ciągle ma twarz
złotą zakrytą, a kłóję i wzruszenie i drada
palcami pierzi - Francuskiem lekko odrywa jej
ręce od twarzy i ratnymuje w łóżku)

Węc nie zapomniatś o mnie? Czy
doprawdy miło ci mnie kochać?

O tak!

Deryderya.

O tak!

Francuskiem.

Przyjęgam ci . . . nigdy ci nie wyobrazić
nie mogłem, jak mi tego w tym stanie
duży w jakim się znajduje i nęc i zapierze
znie pnieścieniem progu trój luba po
wziwa i ziera trawym i spotkać i z tem
dzięciem wzrokiem, który nigdy nie
złamał. —

Rysler (z głębi)

Gdzieś on jest? gdzie jest?

Senia z.

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

Poprzedzający Rysler.
Rysler.

(w głębi) Gdzie on jest? gdzie?
Franciszek! Franciszku mój drogi.
Franciszek. Bracie!

Rysler. O jakim przestrogi, ale
powiedzieć mi co się stało? Nie
mi nie pisales o swoim powrocie...
Może uchroni. Boże stało się tam
jakie niebezpieczeństwo w Egipcie.

Franciszek. Nie - tam nie ma nic
złego.

Rysler. Co ci ratem sprawa -
dra do Francji? Może się zde-
cydowales' rozstać z nami i...

(spostreżona Deryderys) Nawet
plan mój przygotowy do skutku...
wiesz jaki?

(przypatruje im się po kolei wnie-
szając się)

Deryderya.

(mając rzygć). Butel mój skwierowy, ma-
xę go włożysz do wody. — (oddycha głęboko)

Brzech dżiwna, jakże te nriaty mają dżiś
silny zapach! (odchodzi) —

Rysler.

Usciskaj mnie raz jeszcze braciśku,
eth jakże się cię, to się u mnie na-
rywa niespodzianka! Wyobraź sobie,
siedzę tu na gorce w moim pokoiku
ramknięty od samego rana i gwa-
ruje nad restawieniem ostatnich
składowych części mojego modelu,
bo musisz wiedzieć jest już rathkiem
gotów. O mój braciśku będzie to
arcycudnie w swoim rodzaju! Cha-
ryna drukarska, która za jednym
obrotem koła odbijać będzie desenie
które z dwunastu, a nawet piętna-
stu kolorów, czerwony na róż-
nowym, ciemnoniebieski na jasno niebo-

ny i to tak kryto, że jedna linia nie dotknie
drugiej; że odcień jednego koloru nie będzie
równał drugiego. Rozumiesz bracia?
Mechanizm pracujący tak sztucznie i mister-
nie jak człowiek, jednym słowem rewolucja
w fabryce tapetów. Zobaczysz bracia ten wy-
nalezek był nam naprawdę i będzie wspaniałym
przerobem. Chcesz sobie wyobrazić, jaki du-
mny będzie mogąc odplacić Fromontom choć
część tych dobrodziejstw, które oni nam wyświad-
czyli.

~~... i nie wyobrażajcie sobie...~~

Rysler

Wynalaztem, wynalaztem, powiadam ci,
wszystko gotowe, przekonasz się, bo mam
tu na gorze mały modelik już w ruchu
wprowadzony, pokazę ci go. Pojmujesz,
że nie chciałem go dawać robić w fa-
bryce, będzie to niespodzianka dla Je-
remy.

Wspaniale.

Niespodzianka! (na stronie) - Biedny
człowiek!

Rysler. -

Widzisz, mój drogi, Pan Bóg obda-
rzył mnie nadmiarem błogosławien-
stwa. Mam współnika, który postępu-
je ze mną prawdziwie po bratersku,
Interesa idą świetnie, po ramkusz-
cin rachunków pierwszego roku na-
szej wspólki przypadło na mnie 50000
franków czystego zysku. Tak, mój drogi,
50000 fr. wcale przyzwolita suma jak
na pierwszy rok.

Franciszek (na str.) O 'ta kobieta. 'ta
kobieta. ' w proch ją retrę.

Rupler. A opowie tego wrystkiego naj-
lepszego istota w świecie dostata mi się ra-
zione. Porzecz nasre jest jedyne. Lona
moja prowadzi sama całe gospodarstwo,
ja się o nic zgola troszczyć nie potrzebuję.
Przypatr się z jakim gustem u nas wrystko
urządzone. Ładująca kobieta ta moja Cy-
donia, a jak ona śpiewa, a jak się ubiera. O, ona
mi przynosi zaręczt na kardyni kroku.

1 1

Franciszek (adwarczając się)

Franciszek Okropna!

Rysler. Jedno mnie tylko martwi, to jest postępowanie Stanisła ze mną od nicjakiego czasu. Skie wiem co sobie do mnie uprzął ten stary mruk... dąsa się, unika mnie, nie chce nawet mówić ze mną. Stawiać się różnemi sposobami przyjeżdżać z nim do porozumienia, niepodobna. Tydonia utrzymuje, że on mi kardrości mojego nowego stanowiska i trapi się tem, że dawny Kolega jest teraz pretorionym, ale ja w to nie wierzę. - Dwudziestoletnia przyjaźń! Koniec końcem nierozumieniem tego. Widziałeś się już z nim Franciszku?

Franciszek. Długo, gdym przybył. - Powiedział mi, że ci tu szuka.

Rysler. I nie wspominał ci jak ma do mnie wrzeć?

Franciszek. Nie.

Rysler. To rzecz niepojęta. Ty musisz mi pomóc do wyjaśnienia tej tajemnicy.

Franciszek.

(szepcząc xepami). Pomogę ci. —

Rysler.

Ale drinaj dajmy temu pokój; drinejszy dzień
niech będzie poświęcony radości z przyrzeczy twojego
powrotu. Przedewszystkiem kiedyśmy sami pojedź
pokazać ci mój model.

Sydonia (pięra zaliczona)

„ Na króćcu sami w dwoje

„ Stępać w jasnym dzień,

„ A gdy dopuść stoisca zdroje

„ Echrać się w dozwiecie. „

Rysler.

Zapóźno, Sydonia nadchodzi, nie wie
nic o twoim powrocie, też się dopiero
zdziwi.

Scena 8.

Poprzedzający. Sydonia. Pani Dobrou Jery.

(Sydonia pięra x p. Dobrou powyżnia strofka)

Rysler.

(wychodząc napród) - Sydonio, spojrzijcie!
Sydonia.

(zmierniana) - Franciszku!

Rysler.

(wainnie) / A co? na to nie byłas przy-
 gotowana. Ah co widzę pan Jerry
 tutaj? Myślałem, żeś pan w Savigny.

Jerry.

(Archie zakłopotany). Nie chciałem się
 z tobą rozmawiać. . . wazna odpowiedzialność.
(mowa cicha)

Sydonia.

(ochłonaawy z zmierniana zbliża się cicho.
To do Franciszka. - Witajnam Seraghe!

Franciszek.

(całyć ze wnetrzem Sydonie w czoło, które ma tak
 podaje) - (cicho) - Mam do pańi interes.

Rysler (do Jerrygo).

Zgadram się najprętniej, wręczę ra-
 zar pomówiny o tem obszernej. Po-
 rwol mi pan tylko chwileczkę, bo
 chciałbym memu bratu coś poka-
 zac. Francis idziecie ze mną? zaraz
 ci go oddam Sydonio, ra niuntkę
 będzie z powrotem. (odchodzi)

Scena 9.

Fery - Sydonia (pauza)

Fery.

(prigłosem wskazując na Franciszkę)

Wic jest. -

Sydonia.

Przewidziałam to. - Czyż nie mo-
 witam, że Karier jest naszym wro-
 giem? Jemu to zawdzięczamy. -

Fery.

Sadziś, że Plamę go powoła? -

Sydonia.

Seura tego jestem. - Wzrok, jakim

musie Franciska powitać na wstępie
całe jego zachowanie się, mię powa-
dza mi wątpić! - On wie wystawi
pówie bratu. -

Henry.

Ryter mu mi awieny.

Sydonia.

Komu ciemu mi - ale jemu naj-
zupetniej. -

Henry.

Nie ma dowodów.

Sydonia.

Kazet twój ma dowody. ... bilans.

Henry.

Ale, to może już w tej chwili. ...

Sydonia.

Nie chce pierwój ze mnie mówić. -
Nie powinien ci tu zostać

Henry.

Ja miałbym przed nim uciekać? ...

chcąc razem z sobą. —

Sydoria (zgro)

Gła! dokąd? ... (podojmie) — Tyko bez
dramatu, mój przyjacielu! Poco ucie,
kaci? Porostaniesz tylko dla porodu
pnech kilka dni zdala odemnie. —

Geny.

Zdala od ciebie? ... o mnie, mój — Tybys'
zapomniała o mnie. — Otoczona
poustaniami wsi, w jakim zygax, wobec
stałości rodziców i ślepoty mego. ...

Sydoria.

Wiałor się na mego mego! Chciał,
żebyś, aby dla ciebie tylko był ślepy?
O mego kryciu! wycieraj się do siebie
podobni. —

Geny.

Prosta, co ci z tego przyjdzie, że mnie
tu francuzek nie upry? Co się stało,
odstaci się mi może. — Niechaj się dowie

o występie o występie, występo mu
trzeba powiedzieć. — Zaczniemy już za
daleko, aby nie ciegokolwiek lenać. —
Nie- mi pójdę, owszem muszę po-
stać i powstać. . . a biada mu! . .
pereli . . .

Sydonia.

Pojedunek. Nieprawdaż?

Fery.

Tak- pojedunek. Nie ma u mnie prawa
bronić mojej własności? Moje życie,
swojej przetrwania. Poswiecę ciem dla
ciebie wszystko, honor, obowiązki, ro-
dzinę. — Klamaniem, oszukiwaniem,
aby cię poznać. — Ciężko zarobiłem
na ciebie i wikt mi cię nie wydrze. —

Sydonia.

Poznajam ci, że mi chce wraży, mi
chce skandalu. Zrozumiem cię tylko
dobrze Fery! Pereli stworzyć powieść do

Franciska jeżeli najmuje ją z nim
 trochę rozpruwiek, oświadcza ci, że
 wszystko między nami krawane - kot-
 wane na zawsze. -

Fery.

A jeżeli odejdę, co zrobisz?

Sydoria.

To moja rzecz. - Żadam tylko od cie-
 bie nieobecności przez osiem a najwię-
 cej 10 dni. -

Fery.

Niepodobna.

Sydoria.

Zastaw się! wiem, że dotrzymasz słowa.

Fery.

Przymusię cię dać mi wiedzieć o sobie?

Sydoria.

Codzieennie przez p. Dobrego.

Fery.

A jak wrócę, będziesz mnie jeszcze kochać?

Sydoria.

Równie jak drziazgi: —

Rusler

(wolając za sceną) — ^{Panie} Jęny. ^{Panie} Jęny! chodźcie pan.

Sydoria.

Maż moją cie wola . . . idź zatrudnij
go jakiś czas, a potem odjeżdżaj: —
(Mówiąc pozuraz go do drzwi, Jęny chce
je prosić, lecz go lekko odpycha) — Nic —
idź! idź!

Scena 10.

Sydoria (sama) potem Franciszek.

Sydoria.

Narekcie! idźcie mnie to pokazać!
(bieżąc wprost, który wtyka w górę, głosi wózy
aktada cukni i nuci się na sofę — Franciszek
wchodzi błądy i ogląda się wokoło)

Franciszek (po paauie)

Kieruję pauc, jesteście mi tryzycia w szt.

A

ce elegancji i komfortu. (z wypaniem pa-
traci jej prosto w oczy). Komu pani za-
 wdzięcza ten byt? Mężowi? (cięż)
 czy Kochankowi? —

Sydonia.

(uspokoić i nie patrzeć). Obydwom (pauza)

Franciszek.

Przepraszam więc pani, że cię ten człowiek
 kocha, że ty go kochasz?

Sydonia.

Przepraszam. —

Franciszek.

O! Ten bezwstyd idzie już za deless. (chodzi
 za się do sępy). Sydonio! słuchaj! dziś
 mówię ci z tygrysem. Powiedziała
 mi wszystko. Wiem, że podła smarada
 zwieksza jeszcze brzemień wiarotomstwa,
 jeżeli mi bezcelnie odlatniała. Nie
 dość ci oszukać mego brata i kryć go
 smieszonym, lecz krok jeden, a zbaczysz go.

Najstarszy jego przyjaciel powiedział mi wia-
 śnie: Niepodobna, aby o tem mi wiedział,
 jest on albo podły, albo idiota. - Zna-
 go lepiej i więcej, że mi jest ani jedynym
 ani drugim. - Jest starym dzieckiem,
 tatarczykiem i dobrym - cło wiekiem, któ-
 ry mi umiałby czegoś oszukać i dlatego
 pani ślepo wierzy; jest proxi tego niefortu-
 nym wyślachca, którego w wierach trzyma
 idea nieodstępna. - Ludzie tacy to ciu-
 lauatyki: - Mają oczy a nie widzą; pa-
 trzą tylko w swój świat wewnętrzny. Pomi-
 mo to więcej i nadużył się w sposób stra-
 sny jego charakteru. - Ale mówię pa-
 ni, nazwisko mego brata, nazwisko
 które dał mi ojciec, jest także i mo-
 jem. - Jeżeli brat mój jest tyle ślepy, że
 ci je kałać pozwala, myja jest wra-
 bronie go przeciw pani i dlatego musi tu
 widzieć. - Należę ci pani zawiadam

fromonta, aby sobie innej porukał Nr " chański i grze indziej się rajuował. —
 Innej. . .

Sydonia.

(bawiąc się ciągle pierścienkami) — Innej? —
Franciszek.

Odkryje wszystko memu bratu, wszystko w cie-
 tu dzieje. — Nie znałam pani jeszcze Ry-
 slera, ale go poznałam. — O ile znałam go ta-
 godnym i pobłażającym o tyle stami się
 po tem odkryciu straszny i nieubła-
 gany. — A pamią, zabije. —

Sydonia.

Dobrze! wiek mnie zabije . . . i co-
 mi na tem zależy? (choć zwaśniona)

Franciszek.

(pochyła się na niej oparty na łopie) — Tak więc
 pani Kochałam fromonta, że raczej umnie-
 wolisz niż się go znasz? —

Sydonia (napół wstając)

Ja go Kocham? Ja?... to takie mesne?
 Czy mogłeś pan temu dać wiare?...
 Tego utworzenia? przyjętego, jakbym ci,
 tego była przyjęta, aby...

Franciszek.

Slancego?

Sydonia.

Slancego? No byłam malona, bo w sercu
 miatałam i mam jeszcze miłość, która
 jest kochanką, zbrodnią, która mu-
 szę wyrwać - (prorokujący, moi to stojąc
drapa i wruszenia, mającory ciągle atkowi,
uc w jego osadach)

Franciszek.

Miłość! (wzruszony) - I No goi' panu
 Kochasz?

Sydonia.

(głosem cztu miącym) - Wiess to pan doone,
 ciebie!

Franciszek.

Muie? muie?

Sydonia.

Tak jest franciszku, niech tylko no-
chotam i nohami. —

Franciszek.

Niepodobna! Ktoregoz odmowitas mi?

Sydonia

Bo wiedziatam, ze ciuna cie nocha, bie-
dne niescielive driccho! Ktorego jedyn-
na nadziej i rozkosna zycia byla ta
milosc. —

Franciszek.

Deryderya?

Sydonia.

Tak jest deryderya. — W wielkim bez-
rozumnym stale chciatam jej exere-
cie zapewnic, a swoje poswiecic. — Odpo-
kucetam cie franciszku! aby cie jej
pozostawic. — Gdys odnest — ach coxiem
zrobila! wiecej mi zniec zwołalam. —

pojętam, że ofiara jest nad moje siły.
 Ineklinatam matczyństro moje . . . co
 więcej; ineklinatam biedna, opuszczo-
 na, która niewinna była mego obiedu.
Franciszek.

(chodząc wielkimi krokami zbliża się)
 Ale prócz postas' za mego brata?

Sydonia.
 Jego zaś lubię, zamyśla być blisko cie,
 nie. - Chciałam sobie, nie mogąc być
 jego żoną, chce być jego siostrą. - Be-
 dzie go mogła Kochać. . .

Franciszek.
 (wracający) O mój Boże! mój Boże!

Sydonia.
 Nie mogłam nie Kochać jako siostra
 Franciszku! nie mogłam. Zapom-
 nieć nie mogłam o tobie a gdyby
 nawet zdolna była do tego, matczyń-
 stro moje, to nieusłyszeliś matczyństro

stało temu na przeszkodzie. Innyżby był
 moim we mnie zataiłam pamięć o tobie, ale
 nie Ryple, który żyje tylko w tobie. Mówi
 mi ciagle o tobie, o twoich powodzeniach i
 widowach - „Franciszek to powieści, Fran-
 cisek to robi” - Gdy wynała budząc się
 i wstając to u mnie, skiełam mić
 przed tą torturą i w odurzeniu sukai ra-
 tunku. - Skiełam zabaw, ryple, wie-
 twierci. - Tym sposobem dotam ucho po-
 chlebstrom jencgo, który mnie siiga od
 dawna. - Tyje moje zmienito się ... kra-
 zu kotasliwie, peśne rachu, potem wypte-
 que. Ale przypięgam ci franciszku! Nie
 w tym wine malcuśtro, w jakimie rucitani
 nie prestatam nigdy myśleć o tobie, a
 jeżeli kto ma prawo powiadzać mi o
 odpowiedzialności, to ty najmniej, bo
 ty jedynie zrobites mi ten csem je-
 stem. (pauza - Franciszek pada na kucio -

zatanujac reze) - Nie wiemyx mi ?
Franciszek.

Nie. —

Sydonia.

To zawołaj' Ryslera, zawołaj' go i' powiedz
 mu niech mnie zabije. — Ojanki byto,
 by mi trudno umiec, nie drwiegać dłu,
 żej tego ciezaru kauby pod jakim sie
 uginam. — O gdybyś wiedzial!
 Byłam gotowa iść do niego i' powie-
 dzieć mu wszystko. — Bratko mi od-
 wagi. — Ale ty Franciszku! ty wiesz
 adrage i' dlategoś tylko przyjechał,
 nieprawdaż? . . . Brat twój jest bli-
 sko, idź i' powiedz mu wszystko. — O!
 boję się, że nie ucieknę. — Przy-
 niegam ci, że niekiedy będę wyroku-
 siwieć dla mnie nicem, kiedy ci
 odkryć mogłam strasną ta-
 jemnicę. —

Franciszek.

(oddalając się) - Nie-mie chce twojéj ta-
jemnicy. - Nie wiem coś mówić...
nie-mie słyszałem. - O! 'proxi tu pny'
wedłem? moj' Boze, moj' Boze!

Scena II.

Łoprodzający-Wypryjani.

Rysler.

(w głębi wstając do ogrodu) Tutaj Chebe! Delo-
belle tutaj jest w salonie. Oto jest, usi-
skajciez go.

Chebe.

(idąc do Franciszka) - Coś cié tu u Nata!
prowadza do Francji? Czy kanał su-
eski wysechł?

Delobelle.

(abbrukując się w głębi) (cruc i teatralnie)
Wspaniała moje! dziecis'coitaj! -

(stoi i rozciaga mi ramionami, ręce
mu się trzęsą) - Ale nie ociągaj się, bo
mi zepsujesz scenę. -

Franciszek.

(chodzi ku niemu) - Witaj Delobelle!

Pani Elżbie.

(wchodzi z p. Dobson) - No teraz proszę
poradzić usiedziemy. . . .

Delobelle.

Ojacie jestem musilwa!

Delobelle.

To powietrze wzięte. - Ucisnij mi
cicho! To mi rozgniewa serce. -

Rysler

(z rapatem) - No dalej pani Dobson! do por-
lepiamu! pieśni tryumfalnej dla naszego Fran-
ciszka! Tylko coś wrzucę.

Idonia

(chodzi do p. Dobson, klęka i całuje ją) - Śmierć!

procuram troge.

Pauli Dobson.

(m' obracając się) - Szewagier?

Sydonia.

Stopyliśmy wielką bitwę, teraz porój
zawarty. Brakuje tylko podpisu na
ugodzie. —

P. Dobson.

Chcesz czego na piśmie? To będzie tra-
duo. —

Sydonia.

Osi dui m' uptymie, a szalecie się
we mnie zakocha. — Redzié mi to
chciał poriecdzić, lecz m' będzie mi
gdy sama . . . i napisać. —

P. Dobson.

Smiała jesteś, Sydonia! (gra)

Fastona spada.

Akt IV.

Birger

W deryderyi i delobelle. Konradziecie skromu,
ne lez oślniewajace wystojcie i ponadkiem
Wgłębci wielkie okno z matemi rybnami i bia-
temi fraudami. Po obu stronach drzwi —

Z prawej do podłogi deryderyi — drzwi otwierają
ku scenie na werwator — z lewej do wchodu ~~z~~ z ce-
uator — pod oknem nieco opodal śluzgi stoje szt,
czumi ptaszkami, machami i mosiężnymi
drutami — z progu na lewo wielki fotel. —

Scena. 1.

(Deryderya siedzi w wielkim fotelu, obok niej stoi
francuzek — delobelle w kapeluszu na badiusi z
schodkowym wstach, chodri trzymając w ręku pudeł-
ko na towary galanteryjne). —

Delobelle.

Prekar mi nochany francuzku, że zale-
 two pnyedłes opuścić się muszę. — Dziś sobota

Łechta poroznosić zamówione roboty
Dexyderyi. -

Franciszek.

Bez ceremonii p. Delobelle !

Delobelle.

Potem mamy rendezvous z twoim bra-
tem. - Wreszcie mu kosztorys mego
teatru, dziś jutro musi mi dać
odpowiedź. -

Dexyderya.

Dziś? Jutro nadzieję wyś. !

Delobelle.

O nadzieję? . . . To rzecz utopijna.
Jakkż możesz przypuszczać, aby się wa-
shał? Interes tak świątuy- (idzie
do lusterka na zianie i przegląda się)

Dexyderya.

(idzie do Franciszka) - Czy panu brat
mówił o tem?

Franciszek.

O ciem ?

Deryderya.

O projekcie teatru mojego ojca. —

Franciszek.

Nie ani słowa.

Delobelle.

(przed lustrem) — Kiedy pomyśle, że ja
Kroś Texensis, ja Don Cexas de Ba-
zan, Rue Blase chodzię po ulicach
z pudełkiem pod pachą w Nowadawo,
bota i odwiedzę zamówienia do
magazynu kwiatów przy ulicy st.
Denis ! A gdyby tam abonentów tea-
tru w Gersiquan ujreli swego Delo-
belle ! . . . Winił Bóg ! wznanie
to dla mojej córki . . . Będzie
zdrowi dzieci ! . . . zaraz powrócę.

Deryderya.

Będzie zdrowi ojciec ! (odchodzi)

VI

Scena 3.

Poprzedkajary - Delobelle (z padłem
pod paszka, z miną tragiczną)
Delobelle.

(ponurym głosem) - Ołxi jestem. -
Dexyderya.

Już z powrotem? Nie byłeś ojcie! -
 w magazynie?

Delobelle.

Nie - (stri chwile, rypnął lewą nogę napróżno
uderzając nią w ziemię nie ruszył się
jednak z miejsca. Krucha wstąpił na prawo
i na lewo i goryć wargi jak go by
chciał porwać). „Pokuć serce” i „straszli-
wym smutkiem” -

Dexyderya.

(pęstrawiona) - Co ci jest ojcie!

Delobelle.

Spotkałem Ryklera. - Wyrzucił mnie,
padło. (treść wie o tym niewiele, ja)

gdyby chciał być obetnec i ciemna ja gozarska,
 wo na ciemnię, nura padło na stró i sam
 pada w kuestó) - Inemleństwo cięxy na mnie!

Dexyderya.

(Wstawy idie do niego) - Mój ojciec!

Delobelle.

(Wchodzi z ręką po obu stronach fotelu a głó-
 wę na pierści) - Walny tam otługo!
Dziś się, 15, lat walnę, będąc ciem-
ne i ciemne i ciemne, tym biednym
opiarom, które się poświęcały, aby
mnie wyżyć. —

Dexyderya.

(ciemno, nieco zawstydzona) - O ojciec!
jakie mówię tam mówić?

Delobelle.

Tam jest Franciszku! żywi mnie
 a ja mu pnystawat na to bez zaru-
 mienienia, gdyż chciało się to bez celu,
 Mi wciwstę, ciwstę sytuacji. Obowiązkien

było moim przypaśt' ofiarę, gdyż sztuka
stoi wyżej od cennic. . . Ale teraz prze-
brata się już miara, na głęboko zadano
mi ranę. . .

Deryderya.

Nie mów tego ojcie!

Delobelle.

Daj mi panów! siły moje wyręczyły
się. - Dwie już tego niedostatku i
i zmanowieni. - Taki wemnie os-
tę. - Stalo się! . . .

Deryderya.

Co za myśl ojcie!

Franciszek.

(cicho do Deryderyi) - Nie sprzeciwiaj mu
się, skonystaj raczej z jego usposobie-
nia, aby mu stanowco ony otworzyć
i rozwinąć jego studium, które was
wszystkich przekonało zwyciężca. —

Deryderya.

Może może stornować. — Ale ja...
ja nie przewożę tego na sobie. —
Franciszek.

Jeszcze chcesz to ja powiem. —
Deryderya.

Nie, nie lepiej, że ja to uczynię. (Kłania
się do Delobellego) — Sturhaj mnie ajre!
Delobelle.

Wiem, co mi powiesz. Powiesz mi:
że puentowi wstąpiła obowiązek na
mnie, że nie mam prawa się co,
jać. . . Oby powiadam ci. . .
mnie. — Postanowienie moje niech,
chwiać. — Wielkie proszę darem,
nie! . . Nie nalegać na mnie. —

Deryderya.

Nie nalegać, ajre! (Delobelle robi
 ruch zdziwienia — Deryderya mówi nie
smiało) — O ja znajduję, że się trzeba,
zbyt bezwzględnie obchodzić, że ci

nie oddają sprawiedliwości. - Kiedy po-
myśle ile lat czekać i czekać darem,
nie!... Tak być dalej nie może. -
Muszę mi pokazać, że i bez nich
dają sobie radę. (Niepokojujący wzrok
ojca wrota ja kardziej miemu). - Nie
trudnooby ci było zapamiętać, w twoim
wieku, z trojga inteligentnych zstosowań,
karmi, jakie mamy... Pierwa jestem
że pan Rysler wypunktował ci więcej,
see... Nowem, ja znajduję masę stu-
muwicz... poruszyć... -

Alexydera Delobelle.

(wstaje z strasnym wyrazem). - Co?...
co mam poruszyć?... teatr?...
I ty mi to mówisz? (wypuska kłosem)

Alexydera.

(rucając mu się na rękę). - O nie ojciec!
nie - nieprawda... Nie mówią na
to... nie zrozumiates' mnie. -

Delovelle.

(~~otropany~~) - Zauważyłoś dobre nieśtety! Te-
go mi jeszcze brakowało głosu.
Wtama cośda już we mnie nie wiemy. -

Derzdelega.

Ale nie . . . ja . . .

Delovelle.

O gdyby cię troja matka była straciła,
jakichby ból nerwa! Przedna mecen,
nie, nigdy ona tak nie przeobraziła
do mnie. Ona miała wiarę we mnie
a ty, tyś ją straciła. - Widzę ja jeszcze
te wielkonożne, święte, niewinne, widzę
ja w ostatniej jej chwili, gdy zawodziły
mnie do świętego łóżka czeptała:
Ochodź mój biedny przyjacielu! . . .
nie będę tu już więcej, aby ci odrażi
dawać, abyś nie wpierocił w strasnej
twoj walce. - Ale nie ustępuję i rano,
kół, przyjdzie dzień i twój jemu

odwieść tryumf. Wytrwaj i nie ustę-
 paj! Przysięgnij mi, że nigdy nie
 ustąpisz. - I przysięgłem jej, byłas
 przy tem, słyszałaś, a teraz chcesz
 mnie skłonić do karywprysięstwa.
 ... O!

Dexydera.

Nie' queb mnie, mój ojciec! Wiem,
 że cię nikt na świecie tak nie
 kocha i nie wielbi jak ja. - Nigdy
 ani na chwilę nie wątpiłam w
 twój talent. —

Franciszek.

(Który się zbliżył na znak dany przez Dexy-
 derę). Nie' panie Delobelle! nikt
 w twój talent nie wątpi. —

Dexydera.

Żeśli inacyj mówiałam do ciebie,
 było to dlatego, że widziałam jak
 strasznie cierpisz. - Miałam chwilę

stobozici' . . . ale joxi minela. - Bedie,
my dalej waluc' . . . waluc', dopoki
zechcech. —

Franciszek.

Tak jest - bedziemy dzielnie waluc'.

Deklercy

Chodz', pocaluj mnie ajze. ! powiedz,
ze sie nie quiewam na mnie. —

Delobelle.

Nie moje dziecko ! nie quiewam
sie . . . ale mi straszny hot zadalo.

Franciszek.

Ach, pamie Delobelle, xapomnij p.
o tem. — Treba to pnewycisyc', treba
sie roxerwac'.

Delobelle.

Ja mam sie roxerwac' ? Rana
xbyt jest gluchona. (x wyrazem tego
dnego xonatu - Inymazac rek dery-
dery). O ! jak to male paluszki

153. 78
umiejęć srapać serce!

Franciszek.

(Czagle) - Trzysta mi myśł! Czy nie
moglibyśmy zrobić wycieczki...
my troje?

Delobelle.

(z rozpaczą) - Wycieczki?

Franciszek.

Tak jest... opiad na wsi, jak w
dawnych czasach, w małej dobrej
restauracyi.

Delobelle.

(z zgrozą) W laud Maudé na kraju
lasu białostockiego. (przypierając
niecierpliwą miarę) - Nie, nie, wi-
dzicie... zbyt głęboko jestem
ugodzony - byłym smutkiem.

Deryderya.

Rozweselimy się ajre!

Franciszek.

Przekonałam. Nie możesz pójść na
tego zaproszenia odmawiać. —
Trochę dobrane i trochę piękniej. —
Delobelle.

Tak sądzisz? Może może i stu,
snuć. — No znowu może dziecko
idzie się ubrać. — A do Katar! . . .
Franciszek i Desydera.

Co takiego?
Delobelle.

Nie mogę jechać na wieś.
Desydera.

Dlaczego?
Delobelle.

Nie mam kamazów.

Franciszek.
Kamazów?

Delobelle
(do Desydera) — Wiem, że ostatnia para
zdaniem zupełnie w Bougival. —

Derzyderya.

(smiejąc się). Młóć ojcie, czy to koniecznie tak,
by mieć wysokie kamienie, aby jechać do
Saint Mandé?

Franciszek.

Nie jedziemy przecież do Indji, p. Delobelle!

Delobelle.

Przepraszam... Wiem jak ci powinno
być ubranym na wsi. ~ Pierś białą
gratem w Metzu na wsi, a kamienie w ka-
mieniach. Twardy być nie może. —
Nie mogę wyobrazić sobie na wsi...
bez kamieni. ~

Franciszek

To kupię w drodze parę kamieni.

Derzyderya.

(wskazując ci). Dobrze... ale...

Delobelle.

(cichy). Czy może nie jesteś przy...

(pokazując na kieszonkę)

Desydera.

Tak jest.

Delobelle.

Prawda nie odniwistem roboty, więc
i pieniądze nie przyniostem. Udaję
się do Franciska. -

Desydera.

(zasmuchowana) - Nie nie...
tu jest (oddaje mu pieniądze) - Ale nie
kupuj kamasiów (zsmiechając się)
za wielkich. -

Delobelle.

Nie bój się ! ... będę ostrożnym.
Naprawdę więc ! zaczynamy walczyć
na nowo. - To tylko przez miłość dla
was ... chcąc tego ... niechaj
tak będzie (odchodzi). -

Scena 4.

Desydera - Francisek.

Terzyderya.

Nieduży ojciec! staram się wiare jego
podtrzymać, póki można. —

Franciszek.

Czy to bywa tak częściej, że się wyreka
teatru? Sceny takie muszą być stra-
sne dla ciebie. —

Terzyderya.

Nie mówmy o tem Franciszku! On
taki dobry! gdybyś wiedział. . .

Franciszek.

On dobry? a ty? (czatuje ją w reku). Stro-
ga, wiebiańska istota!

Terzyderya.

(wyrzucając sztycy). Pojdę się przebrać. Będzie
w okamgnieniu. — Za 10 minut wró-
cę. Dobrze?

Franciszek (sam)

Cóż to za skarob miłości i dobroci!
O to natchnienie boże przyprowadziło

mnie tutaj. - Przyjść, że znalazłbym
schronienie, przystać. - O wczoraj
pierwej nie przybyłem?

Scena 5.
Sydonia - Franciszek.
Franciszek.

Sydonia!... Paweł! co Paweł tu
robi?

Sydonia.
Chciałam odwieść dawne moje
mieśkanie i moja przyjaciółka
Syderya. - Ojciec jej, który mnie spotkał,
powiedział mi, że jest w domu.

Franciszek.
(Chodzi zantopotały) - Ryta. . .

Sydonia.
Przychodzę także, aby się o pań domu
dowiedzieć. - Mnie matko, że tu będą
wiedzieć o Tobie. - Pojmiesz, że byłam

niespokojna. - Odwiebrając miłe pre-
ciś jakis' prawie zobrazanie na wsi,
warach i uinności. Pragnęłam wie-
dzieć co się z toba stało.

Franciszek.

Chciałam się uinąć z obawy przed
tobą. -

Sydonia.

Zobawy przedemną?

Franciszek.

Tak jest. -

Sydonia.

A teraz mi uczuwasz już więcej obawy?

Franciszek

Nie - ale wstyd. ... wstyd przed sobą
samym, pamiętać o wyznaniu, któ-
re mi się w chwili szaleństwa wymy-
śliło. -

Sydonia.

Wyznanie? A tak. ... rozumiem

proszę to być list. — Ale co ci pomyśle
do głowy pisać do mnie, kiedy mi
nie mógłś codziennie widywać?

Franciszek.

Nie byłeś nigdy samą. — Zdawało się,
że mi umyślnie schodził z drogi.

Sydomia.

Cokolwiek bądź, bytoby zawsze uciostro-
żnie z twojej strony pisać. . . i tak
pisać! Wyobraź sobie, gdyby ten
list, zamiast w moje, dostał się w
inne ręce, naprzykład mego meża. —

Franciszek

(queraxony) — Ha! (xyms) — list ten
spalony? nieprawdaż?

Sydomia.

Nie — To byłoby zbyt ciekawem. — Póki go
mam, jest w bezpiecznem miejscu. —

Franciszek

Spal go, zaklinam cię. —

Blazego? Sydoria.

Franciszek.

Paniemax xawiera w zowie nikkemnowic',
poniewax mi go podrykowalo ostojnawic'.
Diaz go, stracitem glowę. - Nic, nie po-
winien, nie moze istniec', gory jest -
kłamstwem. -

Sydoria.

O! jester' okrutny! Chcesz mi xepsuc'
radosc', x jaka go xawnie rytam. - A
rytam go cieto. -

Franciszek.

Poco go rytac', gdy ci poriadam, x e kła-
mie, x e go odwrotuję, stanowco odwrotuję.
Nic, nie, przew x tym listem! Zisknac'
musi wszelki sklad mego obiedu, abym
wobec ciebie stanal bez ramienia wety-
du. - Proszę, xakliwam cie raz jeszcze
oddaj mi ten list niezwzględy, abym go

zpałi, zniszczył otaczającymi rękami. —
Sydoria.

Nie — zbyt wielką przyrzeczając do niego
 celu. — Zachowam go.

Franciszek.

Zachowasz? po tem wystąpieniu, co ci
 powiedziałem? Coś zamienisz?

Sydoria.

Zgadnij! No?... ale mi się uda ci
 się, a więc pomóż ci. — Przedewszyst-
 kiem mój luby pokuszaj się nawza-
 jem. — Nie znasz mnie jeszcze. — Awi-
 ty, awi ktokolwiek inny. — Apniesz
 mię maskując się. Ale będąc jeszcze nie
 młodym wiele miotać do czynienia
 z potęgami perłami, być może, że
 mi coś z nich przyjdzie do pomocy. —

Franciszek

(niepokojny). — Nie rozumiem cię. —

Sydoria.

Samietarz to okno od dxi dxi'nia? Weir,
 to wielkie okno obok schodów. Herary
 spojrz na nie, mē moge ci wtrzymać
 od śmiechu. - Wramach tego okna
 zawarte jest całe moje dxi dxi'ństwo.
 Sam przepiękny dzień. - Napuciano
 stał pałac frontu z ciernia i żółtą
 balustradą - jakże mi się to wszystko
 wydawało wspaniałe. Sam frontu,
 ta był dla mnie ideałem, ucił mnie
 do siebie. Powiedziałam sobie: „Co
 myślisz Sydonio! Chęć, gdyby to wryst,
 to było twoje? Miałam tylko cel jedyn
 ny, wstąpić jako pani do tej fabryki. -
 To było powodem francusku! dla czego
 nie chciałam pójść za siebie. - Córó,
 ciłam wzrok na tenego frontu,
 gdyż on oknał fabrykę. - Pienięż
 nademnie moja kuzynka. - Wtedy córó,
 ciłam się do Ryslera, którego pyjał

stasnie za spólnika. - Totałam pa-
nia Mysler. . . i fabryka jest moja. -

Franciszek.

(drżący z wstydem) - Tak - jest twoja. .
całkiem twoja. Tona jednego spólni-
ka, Norbana drugiego: "Franciszek
i Mysler starszy" - jesteś właścicielem
całej firmy. - Ach wieśnaje pami.
Przwarisz interesa cu gros.

Sydoma.

Przez lat 20 zniostałam mój łaby! a poko-
renia wielkiego rodzaju. - Odradziłam
lat żyłam w uszy, teraz muszę sobie
to wynagrodzić. Tu chwili kiedy raz,
nam bacił odwet, kiedy wreszcie wolno
może mieć raki i nasycić się blackiem,
i rozkoszami, w tej chwili wpadłam do do-
mu mego, jako kochaneczka, jako sędzia,
chcę być mój zaimię, grozi mi
gwień mego, mówisz o zemście i

śmierci. — Ty wyobrażasz sobie, że u
 znasz brata wladkę i poddam cię? A..
 ba! tego nie możesz myśleć na serio,
 mój bracie! Wzbroniłam się przeciw tobie
 i wladce, że brat mój jest perwus. —
 Byłam w sprawie ostatecznej obrony
 i robię z tego arylek. — Czyżroka miateś
 mnie?

Franciszek.

Zupełnie! — Więc wszystko co mi mo-
 witasz za mojem przybyciem, ta kome-
 dya miłości i ofiary, jaskra, odegratoś,
 to wszystko było jedynie na to obliczenie,
 abym ten list napisał. —

Sydonia.

Na to. —

Franciszek.

Władzisz, że mnie przez to masek w swojej
 twarzy?

Sydonia.

Niewatpliwie. —

Franciszek.

Myslisz, że zimno ci będzie przypatrywał
jako uisurpek i bezczciwiec mego brata,
że ci pozwolę taniec w tobie nawiązo,
które uoszę dlatego, że list odcumnie moim
w swoich rekach? Musiałbym wtedy upać
tak blisko jak ty. — Nie panu! ta oba-
wa mię wstrzyma mnie. —

Judowia.

Nie obawa cię wstrzyma, ale bezowocność
twojego oskarżenia. — Rysler ci mię uwie-
ry. — Twój list stanie radością, że węgus,
dłona miłwie, i a dła xemety i xadrowie
mówia, przez ciebie, i że całe to kłamstwo
uznajesz, bo cię odepchnęła. — Zrezygnuj,
dłę, że ci już wypiszę z pamięci, co ten list
zawiera. — Przemysłam ci go. —

Franciszek

(Xywo) — Masz go przy sobie? —

Sydonia.

Łowce ! (stała poza stołem derydery w
środku sceny, tak że ja stoję od franciszka
dżieli - dobywa listu z kieszonki i otwiera go spow.
Kojnie nie spuszczaając oka z franciszka. W
chwili gdy chce zamknąć list, franciszek robi
ruch, chce coś odzwać i ruszyć na niego.
Kładzie rękę na klamce okna poza stołem) -
Tylko żadnego gwałtu ! bo zawołam.
Znasz dom, natychmiast biegną
się na pomoc sąsiadki. - (Zamyka
list - W tej chwili otwiera się drzwi
i deryderya wchodzi niepozostawiając pod
naszemu franciszka tyłem do niej i zasto-
nuje ją tym sposobem przed Sydonią) -

Sydonia.

(cicha) - O tam, Kocham się; Kocham
się więcej niż kiedy i Kocham się
wiercić - (prerwyjąc cichym) - Ty
coś siedzisz na śmierci i żyjesz, czy

170.
Tak jest istotnie? Słyszec to do
żony twego brata. —

Dexyderya.

(zmiastelnik blada, cicho) — Obiada
mi!

Sydonia.

(szepota dalej). Na co ci się przyda wa-
notanie ci i walka? Miłość
nasza silniejsza jest od nich.

Franciszek.

(raczej na Sydonię i dopiera ją w chwili
gdy chce otworzyć okno i wołać. — Chętnie
ja za ciebie i ciągnie ją naprzód uśmiech. Prosi
cię spazmatycznie) — Mój li!

Sydonia.

Nie! nigdy.

Franciszek.

Mój li!

Sydonia.

Nigdy, nigdy!

Franciszek.

Mój lić! albo się zabiję.

Sydonia

Nedary!

Doroderya.

Franciszeku! (Franciszek odwraca się ku niej i staje ostupiały; Sydonia konystając z tej chwili drąga do drzwi na lewo - Doroderya cisnąc ręką serce, robi krok i opiera się na fotelu, aby nie upadła - Franciszek pomyślnie do niej, aby ją wesprzeć - Doroderya wypycha go gestem, aby wstąpił, głos głębi, gwarany Thaniem - Pawłana pierwsze słowa listu) "Tak jest, Kocham cię, Kocham cię więcej, niż kiedy i Kocham cię na zawsze!" (wtedy - Sydonia pokazuje z progu lić, którego jej nie mógł być, mać Franciszek).

Pawłana spada.

Art V.

Oddział I.

W Fromontów. Taki sam podział i urządzenie
jak u Rybickich, tylko że zbytek tu w lepszym
smaku - 10 godzin w wieczór - salon oświetlony
tylko jedną lampą - przez główne drzwi, które
re Plaus przekształcił otwarte widzieć wielkie
schody jeszcze oświetlone, okryte dywanami
i ozdobione kariatydami - meble kryształowe i damy
W trakcie balowej idą do Rybickich - stychać
muzyki balowej) —

L'heure finit par
Bordeaux

Scena 1.

Klara, Fromont, Tygument, Plaus.
(Klara w trakcie balowej smutna)
Plaus.

(Klaro wzruszony osierajac pot z czoła) —
Czy pan Jerry jeszcze nie wrócił?
Klara.

Nie jak widział panie Plaus. —

Решам на niego. - Ніе поїмунє годє
сє obraca. - Мачинє поїтаїам по
него до клубу. . . . Аprecієx' віє
хє мааму ісє на хол до Рyslerov.

Planus.

(xyrnytaїє xexamı). Prawda na hol.
Tam na gонe таїсуня. (xyponıııı). - Sko,
ro paau fery pnyberie, rarr mu paui
pwiєdkieł, хє маам до него ciїteres
i хє jєtem na dole w Kantore i хє
chciatıym sїє x nim wiєdnїє bexxwto,
crui. - (adehrodi)

Mara.

(xyo Krotkım namysle wota go)
Pamie Tygmanuie! Pry ciїteres jaskimax
do niego, moxie jєt tak pilny i nagły?
(xamıka drwi). - Prychodxix jax po rax 3-
dxio w wieciov. - Krykle o tєj godxinie
niє bywax w Kantore. - Cox' ciє stato?
Jєtes' tak wxxasowy. . . .

Planus.

(Amusant se de minichu) - Wzruszony ?
ja ? pani . . . chce tylko . . .

Klara.

Nie pani Planus, nie udawaj. . .
mam przecucie, że coś jest niedobre,
go. - Oddawna już widzę jakas' ta,
jeunire, jakis' spisek około siebie,
którego sobie myślowanyć nie u,
miem. - Spostregam ukradkiem
wymieniane spojrenia, stygę pot,
stotka. - Powiedź mi co się dzieje ?
Co może memu merowi mówić ?
Ja chce wiedzieć. -

Planus.

To interes handlowe.

Klara.

O to, ani mi się obce, ani obojętne. -
Mów ! . . .

Planus.

(przytłumionym głosem) - Powiem pani,
chciałem p. Frocnoutowi przypomnieć,
że jutro jest ultimo, tj. ostatni
dzień uciekania i że wielkie ma-
my spłaty. —

Klara.

Słucham, że jesteś na to przygotowany,
że ci są potrzebnych doktorów?

Plauus.

(po krótkim wahaniu się, przegłoszeniu)

Tak... ale nie mogę...

Klara.

Odpowiedz mi!... Precież dano
ci potrzebne sumy? —

Plauus.

Nie mam ich. —

Klara.

Co? nie masz?... Dopiero w chwi-
li terminu, o 10. godz. wieczór mówisz
o tem? To trochę zapóźno p. Plauus,

176.
na sumieniego Kasyera.

Planus.

A czy ja widzę tych panów? Pana
Jomonta nie ma nigdy. . .
nigdy z nim mówić nie można.

Mara

(Zmieszana) - Prawda, że wstąpił do domu
wychodzi. . . ale Rybler zawsze
już jest w domu i o każdej chwili
zostać go można. -

Planus.

Z P. Ryblerem nie mówię.

Mara.

Planusa?

Planus.

Bo się lekam, żeby (innym wyrażając
wyraz) - Lekam się przekłócić mu. -

Mara.

Ależ to mię wytknął, aby w
domu takim jak nasz z taką energią

czym jaś ty, p. Plauus Kasjerem,
moim ci znać w Kłopotcie w
terminie spłaty. — Doprawdy, panie
Plauus, to do ciebie niepodobne. —

Plauus.

(wzruszony) — Pani mnie oskarża!
Nie moja wina, przysięgam pani.
Robiłem wszystko, co było w mojej
mocy. —

Klara.

Alexi handel posiada zaległe wie,
rytelności, które winienes być scia-
gnać do Kasy. — Czy zaxadates'
ich? —

Plauus.

Od dawna. —

Klara.

Y? —

Plauus.

Chcesz pani wiedzieć? dobrze. —

Od rana latam po wsiach. Byłem
u Chapuis, Guillarda, Tavela i y-
na... Wredzie ta sama odpowiedź.
Więtyteluoci nasze ściażnieto jax
i pobrau na rachunek naszego
domu przed miścizorem przed kwar-
talem, przed 6. tygodniami. — Dzi-
wione się jego przychodze, a moiesz
sobie wyobrazić jak to dla mnie
było powiększenie? (obciera czoło z potu)
O mnie zapomnę nigdy druziejpięćmo,
jēj biegawiny! —

Młara.

Więc zostaty podniessione więtytel,
uoci, sumy ściażnieto i mnie ka,
wiadomiono u o tem? Ciekie
Maxera? To dziwne! Którę zaxa,
daj tych wyptat?

Planus.

Nie wiem. —

Klara.

Alle wieß pnerich tan doore jaß ja,
 xē Rysler miē xajinyē sie miereu
 proß srojemi wyalaxkami c'ma,
 chinami. — Wiē moß tylls jaß
 fromout. . . . ale dlanego uē miē
 xawiadomiť? —

Plaus.

Alle moß Roxe! p. fromout moß
 pnegrac. . . . w klubie jego grajē
 tak wysoke. . . .

Klara.

(xgodnoscia) — Pani Plaus! miē
 xadam, abys mexa mego unie,
 wiunias — (drwi sie otrieraja — wcho-
 dzi pokojowa) — Pani? . . .

Pokojowa.

Nie — pani. August wróciť z klubu.
 Paul tam nie byto. —

Klara.

Alc może w pokój zamocować? I kim,
że się widział?

Pokojowa.

Z samym sekretarzem. — Powieściat
mu, że już od półroka pana nie
widziało w klubie. —

Klara.

(do niej) — Ha!

Stamus

(na stronę) — Gadula!

Klara.

(do pokojowej) — Dobrze... idź!

Pokojowa.

(wychodzi znowu wraca) — Pani! pan
właśnie nadchodzi. —

Klara.

(do Stamus) — Możeś odejść mój do
bry Tygrysu! Szyjdziesz później.

Stamus.

Dobre pani. (odchodzi między drzwiami)

Scena 2.

Żeny - Klara.

Przepraszam cię Kochana Klaro, 'kiem
ci dać czekać na siebie. - Ale wia-
tem do mówienia o ważnych ne-
ważnych... pilnych sprawach...

Klara.

Nie ja sama czekam na siebie,
i Klara wygląda nie najlepiej...
Czyżby miała mi dać pieniądze?
Nieprawdaż?

Żeny.

Żadno ani ci powiedzieć?

Klara.

(nervowo) - Powiedz mi, że chce z
tobą mówić o terminie jutrzejszym.
To nie jest prosta i jasna. —

Żeny.

O! nie ma obawy. Jutro rano będzie
miał pieniądze... obiecało mi. —

Klara.

Wanego jutro rano? Masz przecież
pieniądze. - Wielkie sumy w tych
czasach pociągales. ... coż zro-
bites' z niemi?

Jenny.

Wistocie Klara nie pojmuje. ...

Klara.

Nie pojmujesz? że w wilié terminu
wiedząc, że nie jesteś przygotowa-
ni, i dom ... domu mego ojca, chom,
promitowany, dowiaduje się i obawiam...
Porwie, gdzie są pieniądze? —

Jenny.

Że ci' nam wyznać. ... miatem
chwilę stać, datem się porwać...
i wbrew przyrzeczeniu memu gratem...
i pniegratem. ...

Klara.

Włubie?

Tak jest. — Jery.

Klara.

Alex od pół roku nie byłś już w klubie.
 Sam sekretarz nakazał mi to powiedzieć. —
 Pomimo tego gnuśnatoś mi nie cawierzo-
 ra. — Możliwość mi powiedzieć gdzieś by-
 wał? A tego lata w Savigny, wystąpił
 niedziela w których przedstawiał mi
 sam, powiedz mi, gdzie je poro-
 dzates? —

Alex. . . Jery.

Klara.

(stanowczy) Nie masz słów na odpow-
 wiedź? . . . Dobrze więc, to ja ci po-
 wiem. . . masz Kochankę. —

Jery.

Jakie możliwe myśleć?

Klara. —

(Stanowiro) - Nie klam, proszę cię... dwie
 już klamates! - Dawno już żyję w at-
 mosferze tajemnicy, w ciemnościach,
 które mnie przetrasają; długo już od-
 gaduję, że krycha na mnie nie ma.
 Otarak rokamiem te spójrenia, ten
 uśmiech powietrznego, te tajemne
 litosie, które spotykam wokoło. Węzsy
 wiedzieli, że jestem oszukiwany... ja
 tylko byłem ślepy. - Ale wystąp w Two-
 jej obronę... no, bronię cię przecież!
 Powiedz co... staraj się mnie przeko-
 nać... Onie - nie, miłko! Wied
 jasno. - Nie mogę ci już wierzyć!
 (wypucha Thamiem) - O mój Boże! mój
 Boże! (pausa - słychać muzykę)

Gerzy.

(zbliżając się do niej) - Klaro! zakli-
 nam cię...

Klara (wstając)

Naproxim! ... Plau mój stauowu. —
 Wiem co mi wygni wypadu. (drzwi)
 Kui chwili nie pozostane dlużej w tym
 domu. (do pokojowej, która wchodzi) — Obudź
 dziecko i ubierz je. — Dla mnie suknie
 i płaszc! pojedziemy. —

Klaro! Geny.

Klara.

Jadę do siostry mojej do Arcauu. —
 Nic z sobą odłać więcej wspólnego nie
 mamy. —

Geny.

Ale to być nie może ... Kroku takiego
 go nie zrobić. —

Klara.

(groźąc) — Tobie wyraz.

Plauus.

(ukazując się w małych drzwiach) — Panie
 Geny! to ja ... przychodzę po pieniądze. —

Jery.
Nie mam ich. —

Plamus (wzruszony)
A więc hańdructwo!

Jery & Klara (przebiec razem)
Hańdructwo!

Plamus.
Tak jest - Nie można ich już kupić. . .
Trzeba niemięściną spojrzeć oko w oko.
Wam nad nami ich wali. Nadeszła
katastrofa. —

Jery.
(generałowy padeł w puście) - O mój Boże!

Klara.
A więc to prawda! Ruina mego sum-
siera kazała mi przypominać o ruinie
domu . . . Coż się z nim stanie, jeżeli
li go potrzęse? — (wpatruje się w Jerego). —
Mamże sięgnąć na siebie powyżej,
nie, że przed hańdructwem uciekam? —

Przyjście.

(uśmiechając się z prawej strony) - Wszystko gotowe!

Mama.

(z wielkimi spokojem). Nie potrzeba już ro-
staniemy. —

Henry.

O dzięk! dzięk!

Scena 3.

Rysler. No coś się dzieje? państwo nie laska-
wi na górę? Tak, tak wesoło, będziecie się bawić
przewybornie. Mnóstwo gości po wszystkich po-
kojach, duży się formalnie. A dualety, a or-
kiestra! O przepyszny widok! No, moi drodzy
państwo, prędko chodźcie, wszyscy pytają się
o was.

Mama.

Chcieliśmy zobaczyć państwa p. Rysler. ...

Henry.

Ala ja za późno przyszedłem do domu, a
teraz miś miś kocha. —

Rysler. Proszę państwa nie róbcie nam tej karykatury.
Sydonia byłaby skrapnie zmartwiona. A potem uwa-
żajcie państwo, że gdybyście u nas dzisiaj nie byli, ludzie
mogliby myśleć sam nie wiem co. A na przykład, że wspo-
mniemy nie zryć ze sobą w rozbieżności, że intereś. tubycki i...

Trzeba pamiętać o wystąpieniu, w przed-
siebieństwie Karola Bagatela ma swoje zna-
czenie.

Mara.

Rysler ma sturność! (zruca z siebie mowę,
tylko - do Henego) - podaj mi rękę. Jestem gotowy...
chodźmy. (do Sygmaanta) - Oczekaj tu na
mnie, przyjdę zaraz. (Mara odchodzi z He-
nem powoli i widac przez drzwi otwarte, gdy
chodzi ze schodów). —

Scena 4.

Rysler - Planus.

Planus.

(patrac za wychodzącymi) - Szlachetna ko-
bieta! Gdzie idzie do tej potępieni? —
Rysler sam ją prowadzi, a nie siwie? —

Rysler.

(chce iść za nimi i nagle się wstrzymuje)

A ty stary Planusie! Dlaczego nie przypre-
ciles na bal do nas? Czy jeszcze masz do mnie
te dwieście jankas' uwarę. Powiedz mi co to ma-
rzy? Ja ci nie tego nie zrobiem. A więc

do diabła wyduskie narewiecie re siebie o co
ci chodzi? Oto moja reka. (podaje mu reke
przez stół) Zygmuncie Plamies ja ci po-
daje reke.

Plamies.

(wybuchając pueralnym głosem). A ja ci
odmawiam mojej?

Rysler.

Hla! Z jakiego powodu odtrącasz moją
reke?

Plamies.

ty staciś się ruiną, domu naszego
Nie- ~~pod dom pchnie do ruiny.~~

Rysler.

Czyś ty ~~szadzi~~ oszalał?

Plamies.

Po jutro zrana mam wypłacić 120,000.
franków, a z trojęj winy mi ma w
nasie ani grosza. —

Rysler.

Statem się przy czyną ruiny? Ja?! ja?!

Plamus.

Tak pamięć!... ty... przez troję ślepotę...
przez troję słabość... przez to, żeś przy-
jął fałszywy bilans... żeś dozwolił...

Ryker.

12 1.1 1.1 1.1 1.1 1.1 1.1

Fałszywy bilans? Bilans powiadać
był fałszywy? Czy podobna? prze-
cier ty sam mi go dałeś!

Plamus.

Nie - nie ja.

Ryker.

Pluszkie, ... teraz sobie przypominam, to
Framont. I był fałszywy powiadać?

Plamus.

Fałszywy.

Ryker.

Placęgori mnie nie przestraszyłeś?

.....

Plamus.

Bo ja nie, których cię nie mówi... bo ja

191. 96
nie ma odwagi mówić o nich. Sprawa
dżitem Franciszka, aby cię ostrzegł. —

Rysler.

Franciszka? Wiesz Franciszek dlatego
powrócił?

Stanus.

Nie ci mi powieściast?... Byłem więc
zmarłym... Długo mi mogłem
wznieść... to mnie dusiło. —

Rysler.

Terwot, niech zbiorę myśli. Nie mogę
jeszcze pojąć dokładnie... Dlaczego Jerry
mnie okłamał... W jakim celu dał mi
50.000 fr. Które mi się nie należały? Ja
niepotrzebowateń tych pieniędzy. Nie mia-
łem żadnych wydatków na drwycrajnych.
Ah! nie, nie, willa dla Sydney. Lecz to
Framonta nie mi obchodziło... Po coś mnie
w błąd wprowadzał? Dlaczego ratował nas
dla zrobienia procentu mojej siostry? (gwałtownie)
Mówię ty... ty, który rdajesz się wiedzieć o
wszystkiem... Tak ty mi powiesz, mów! Wiesz

Plamus.

Tak pamięć!... ty... przez swoje ślepotę...
przez swoje ślabość... przez to, żeś przy-
jął fałszywy bilans... żeś dozwolił...

Rysler.

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12

Fałszywy bilans? Bilans powiadać
był fałszywy? Czy podobna? prze-
cier ty sam mi go dałeś!

Plamus.

Nie - nie ja.

Rysler.

Staszuie, .. teraz sobie przypominam, to
Froumont. I był fałszywy powiadać?

Plamus.

Fałszywy.

Rysler.

Placęgori nuie nie przestregles?

.....

Plamus.

Bo są rzeczy, których się nie mówi... bo są

191.
96
nie ma odwagi mówić o nich. Sprawa
dixitem Franciszka, aby cię ostrego. —

Rysler.

Franciszka? Wiesz Franciszek dlatego
powrócił?

Thaun.

Nie ci nie powiedziałem?... Byłem więc
zmuszony... Długo ci nie mogłem
czekać... to mnie doszło. —

Rysler.

Porwał, niech zbroję wysła. Nie mogę
jeszcze pojąć dokładnie... Dlaczego Jerry
mnie okłamał... W jakim celu dał mi
50.000 fr. Które mi się nie należały? Ja
niepotrzebowateń tych pieniędzy. Nie mia-
łem żadnych wydatków nadzwyczajnych.
Ach! nie, nie, willa dla Sydney. Lecz to
Framonta nie nie obchodziło... Po coś mi
w błąd wprowadzał? Dlaczego ratował nas
dla zrobienia prezentu mojej siostrze? (zawołanie)
Mówię ty... ty, który rzuca się wiedzieć o
wszystkiem... Tak ty mi powiesz, mów! Włóczy

wice i on ma mnie w podejrzeniu ... o ... o!
(biegnie do drzwi, otwiera je i wola donośnym
głosem) Sydonio! Sydonio! pami Rister!
pami Rister niech tu przyjdzie.

Vladas.

Nie pozwalam ci na tobie ... mia,
Tem cię w podejrzeniu. ... —

Rysler.

O tem później, później. (do Sydonii)
Lejdi tu na dół.

wielkiej tralecie schodzi z wolna ze schodów,
po których nierobko spływa ogień i iskry)

Scena 5.

Sydonia-Rysler-Plannus.

(Sydonia wchodzi z drzwiami, powstawa
jak za sobą drzwi otworze) —

Sydonia.

Czy tam nowego? Czyś pan oszalał,
że krytyk tak głośno?

Rysler.

(cofa się z krzesła) — ^{brylanty} Ha! te diamenty!
te klejnoty! (przystanowiącym głosem) od
kogo je dostałaś? —

Sydonia.

(na stronie) — Francisek powiedział
wszystko... jestem zgubiona!

Rysler.

(rucając się na uia) — Kto ci je dał? Kto
odpowiada? Panna! Nedmico!

Plannus.

Ryslerze!

Rysler

Bądź spokojny. Laniem przystąpię do rem-
sty, mam jeszcze coś innego do ratatwienia.
Ukradliśmy, musimy, rękodę wynagrodzić..

Przedko! Zdejm te perły... zdejm
naszyjnik.

Sydonia. (driac)

Ale mi roxumien...

R. 12.

(Zdejm powiadam, bo ci go redog. (pru-
ca kowie na stół) Mass Planus, spie-
nierys to. (do Sydonii) Dalej! (mie-
cierpliwiony rrywa jej gwałtownie klejnoty)
Sydonia. Ale skalecysz mnie. O!
remusz sig na Franciszku.

Rysler. (nie słuchając jej, oddaje resztę
klejnotów) Mass... teraz na mnie kolej.
Chcę ci także oddać wszystko co posia-
dam. Oto mój pugilares.. Ah willa
w Bongival. Obełaj, przyniosz ci ra-
raz papiery. (chcąc wyjść spostrzeżę
Mass) Ah pani Fremont? przycho-
dził pan w samą porę. (chwytając Sydo-

nie za refę i wkłese ją przed Klarę /
 (Ładostycę i pokiuta ! Na
 Molana.

Nigdy ! Sydonia.

Klara.

(ostępiała) - Co ?

(wyciągając Sydonię na ramię) / Na Mola-
 na, powiadam, przed kobietą, któ-
 rą skrywdziłaś i rujnowałaś.

Klara (na str.)

Ha ! to ona ! Rysler.

(nachylając Sydonię do nogi Klary) /
 I powtarzaj za mną słowo w słowo.
 Pani ...

Wzrost ...

Nie...

Rysler (groźnie)
Pozkazuje ci !

Sydomia.
(głosem stumiannym) - Pami !
Rysler.

Cale życie moje pełne pokory i nległości nie
wystarczy...

Sydomia.
Cale życie po... Nie, nie mogę,
nie chcę ! (krzywa się wdrętkiem uale -
chrypta obciema rękami zaknię i wyprawy
ci Ryslerowi, ucieka dozwianymi w głab)

Rysler.

(do Planusa) Chui Kroku, powiadam ci.
(do Klary) Treback pami, musimy teraz
przystąpić do spraw ważniejszych. Nie idzie
tu o pamią Rysler, tylko o dom Fromantów,
który musimy ocalić od zguby... Otem tyl-
ko teraz może być mowa... Planus przy-
nieś swoje księgi, będziemy rachować.

~~~~~



Art 5.

Oddział 2.



Biuro Leonarda syna i Rybaka starszego -  
na lewo od pierwszej kolumny aż do głębi; wtańci;  
na prawo od drugiej od warty pociągami kraw-  
ta, w której się znajdują drzwi i okno odzwane.  
Widac tam stół do pisania i krzesła i ławki  
stółki i t. d. W prawo przy ostatniej kolumnie drzwi  
do schodów prowadzących do prywatnego miesz-  
kania - w głębi stojące drzwi - na lewo wtań-  
ciwie biuro Leonarda i drzwi, które do innych  
biór prowadzi - na prawo z progu napuszcz,  
do krzesła stół do pisania i stółki. —

Scena 1.

(Na podziwieniu się kartony - Rybak siedzi z  
prawej strony z progu przy stojącym stole i po-  
nadaje korespondencje - Stawia na lewo na  
krata - woxny bandowy chowa pieniądze, które  
na Stawia przez odzwane okno odlicza do torby,



Kłóć się na pyrośkach na remieniu - Klaus  
wstaje, wychodzi z góry braty, kaciążając se-  
re, ku Ryslerowi) —

Rysler.

Czy to <sup>już</sup> ostatni był wesoł?

Klaus.

Tak jest, ostatni.

Rysler

Wszystko wyptacone?

Klaus.

Wszystko. (wyciąga zegarek). - Jeszcze nie  
 ma 12. - Honor domu ocalony.

Rysler.

Tak sadzisz? (drwoni, do sturującego, Poprosz i)  
 pana Framant, żeby się popatrygował do  
 Kantora.

Klaus

(na stronie) O mój Boże! nie widzieli się  
 jeszcze. - Co to będzie?

Rysler

(do sturującego, który się zatrzymał). <sup>Czego</sup> - A co uwasz?



Sturany.

Pouta, prowe pana (addajis listy)

Rysler.

Chciem jwi odejść.

Dobrze. - (biere listy) - Teraz idź (Sturany

Łódzko) - / Rysler zamyka otwieraci listy i uwa-

gle zwraca się do Planusa) - Cyguunwie Planus.

Planus.

Co?

Rysler.

Gdzie jest Franciscus? Czyli widriatesgo?

Planus.

Rys tutaj z rana.

Rysler.

Czyli, co się stało?

Planus.

Wszystko.

Rysler.

Trze ma go tu... przy mnie... w takiej  
chwil... O! to niedobre. —

Planus.



Nie oskarżaj go. - Gdybyś wiedział...  
 biedny rłtópłec lata od switu... suna  
 dla nas piciędzy. - Wypłtko w swie ra,  
 oszczędzić odda. -

Rysler.

Tocrciwy chłopiec. (ociera łez rywo) a  
 prawda, listy, trzeba je przejrzeć. (do Pla-  
nusa, oddając mu jeden list) Zamówie-  
 nie z Lyonu bardzo ruadne. Trzeba się  
 przedko wriąse do roboty. List z Flawu<sup>ac</sup>  
 potwierdzający odebranie ostatniej na-  
 rej prresylki. (bierre inny list, roba-  
rywsy adres, radział.)

Uwaga.

Czy tam znova?

Rysler.

(b. wronowany) List od... od tej  
 kobiety... Ona się osunęła pi-  
 sac do mnie... ale ja go cryptac  
 nie bede, mam co innego do  
 czynienia.



Planus.

Max Turnovii. Pro dotej' w te brudy klasi'  
vere ?

Rysler.

(oglądajac list.) Oorem ona more pisac'  
do mnie. Wymyslita rapewne nowe ja-  
kie klamstwo. (ruca list na biurko) Nie,  
nie chce. (prawo - potem nagle z quie-  
nem.) Co to ? Oorem pana Fromont  
dotychczas nie ma ? (mate drzwi sie otwie-  
raja, porywa sie z miejsca) Ah!  
(ukazuje sie Klara)

Scena 2.

Li - Klara.

Rysler.

Ah ! to pani... (re sumtynym usmiechem)  
Spodriewatem sie, ze on nie przyjdzie,  
ale do pani nie mam zadnego interesu.  
(chce odejci) On jest na gorze !



Klara.

(bardzo wzruszona). Nie-wyprzedzi... chęć.

Rysler.

O nie, jest w domu, muszę się widzieć z nim  
samym.

Klara.

(wstrzymując go) - Panie Rysler! prosię cię.

Rysler.

(stanowczo). Muszę.

Klara.

(drżąc z wzruszenia). Sturhaj mnie przy-  
jacielu! Prawda cię kiedyś doznałes? Kryty-  
dy. - Miał prawo zadać wszelkiego za-  
dyskutowienia, zemścić się, lecz nie  
sprawiedliwieć sobie wymierzyć. - Tyli  
jego do ciebie należą. - Wie on o tem,  
i bronić go nie będzie. - Ja sama wi-  
dzę, że tyle względem ciebie zarobił,  
i że nie śniłem nic na jego obronę po-  
wiedzieć. - Turczyłem zresztą na jego obro-



na nie znalazła. - Wityd mnie. -

Rysler.

Wityd? ~~pani~~? Pani się wstydrisz, pani?.

Klara.

Ryslerze! mój przyjacielu! Nie żona moja  
do ciebie, nie żona nie staga, abyś mu  
pochował... ale matka. - Dzieci moje  
je stawiam między tobą, a nim, biedne  
moje dzieci. -

Rysler.

Dzieci twoje pani. Wszakże ja myślę tyl-  
ko o niem, dla twego dziecka pracuję  
w tej chwili. Dom Fromantów który  
niegdys' należał do ojca twego, a niedys'  
dostanie się w spuścizmie dziecku twemu,  
został zachwiany i zagrożony upadkiem  
z mojej winy. Przedwzrostkiem chcę  
mnie pani dobre prawnie, przedwzrost-  
kiem musi dom ten stać na powrót na  
tak silnej podstawie jak dawniej... a po-  
tem, potem robaczymy.



Klara.

Pan postępuje względem nas szlachetnie...  
wiem to. —

Plauus.

(próbuje poxa Krata). O pani! 'gdypys'  
wszystko wiedzieć mogła... to święty...  
to anioł!

Rysler.

(do Plauusa). ~~No zajmuj się tam swoją kasą.~~  
~~rozumiesz.~~ — Ty pilnuj swojej kasy, rozumiesz?

Plauus.

Dobrze już, dobrze. —

Rysler.

(do Klary, łagodnie). Proszę cię pani przy-  
witać twego męża. Muszę się w wielu  
sprawach porozumieć z moim współwłaścicielem.  
Jeżeli się obawiam, żebyś się nie uniósł  
gniewem, zostań tu. Spójrz tylko na  
ciebie szlachetna czoła mojego starego  
pana, a wnet przypominę sobie obowią-  
zek dotrzymania danego ci słowa.



Jeszcze się pani wacha?

Klara.

Masz sturwoś!... a jednak się  
lekam... Siła ludzka ma granice...  
Widok utowiska, który ci tak straszy  
ból zadał...

Rysler.

(bierze ją za rękę i patrzy w nią z podziwieniem)

Wzniosła, szlachetna istota, myślisz tylko o  
krywdzie, którą mnie wyrządził. A nie wiesz  
o tem, że ja go w równej mierze nienawidzę  
za to, że zdradził ciebie jak... (z wściekłością)  
O niedźwi! niegodziwi!

Wzrost.

Widzisz, że nie możemy pozostać  
spokojnym... W takim usposobie-  
niu, nie możemy się pan z nim  
widzieć... - - (odwróci się otrząsając  
język się ukazuje - Klara nuci się naprzeciw



niemu - Ha! Jony? —

Scena 3.

Ci sami i Jony Fromont.

Jony.

(odkurzając łagodnie Klare). Puc'ie'mnie  
Klaro! puc'ie'mnie - (do Ryslera spoj-  
rując, ale skromnie). Kaxute's'mnie  
wolać. - Jeste'm na twoje rozkazy. . .

Rysler.

(zadrzał na jego widok, ale spojrował  
na Klare, która błagalnie ku niemu  
wyciąga ręce, uspokaja się nagle i

Nasz dom znajduje się teraz w stanie okro-  
pnego przesilenia. Na razie odwróciliśmy  
katastrofę, ale nie jest to jeszcze termin osta-  
tni i dzisiaj już należy zacząć myśleć o na-  
stępnym. Przedewszystkiem muszę pana ra-  
wiadomić, że nowe naryunki drukarskie są już  
gotowe i przewyższyły wszelkie moje oczekiwa-



nia. Stang się one dla nas nierawodnym<sup>2</sup> 104  
środkiem do podwignienia i podtrzy-  
mania naszego interesu. Nie wspomni-  
nałem dawniej o tem, ponieważ chcia-  
łem państwu zrobić niespodziankę, ale te-  
raz już radę z nas niema dla drugiego  
niespodzianek. (z gryzącą ironią) Nie-  
prawdaż panie Fromont?

Klara. Ryplerre!

BIBLIOTEKA TEATRALNA

Własność Gminy m. Lwowa.

Rypler. (opamiętawszy się) Niesłety nie-  
docekanym się rezultatu przedzi jak za  
pół roku. Chodź więc o to, ażeby można  
jako przeżyć ten czas. Dla tego musimy  
się ograniczyć i zmniejszyć ile możności na-  
sze wydatki. Od dziś dnia zreklamuję się me-  
go udziału jako współnika, pobierac będę  
płatę kierownika fabryki tak jak dawniej,  
wielu ani grosza. Nie jestem już państwu  
wspólnikiem, będę napowrót sługą i ratuję  
tylko, że nie rostatem nim na rawrze. Ja  
tak smę, rozumiesz pan. Co się pana tyczy,  
bedriem musiał brać teraz czynny udział

w fabryce. Treba, ażeby ludnie czuli  
obecność swego pryncypala. Sadzę, że  
w taki sposób będzie można poweto-  
wać niektóre z tych ciósów co nas do-  
tknęły.



Luziary (do Ryslera)

Proszę pana, wozy nadejdą. —

Rysler.

Ode ~~zawsze~~. (chce wyjść, ale kataru,  
je się, pociąg kłóci się do węg bierka,  
biene list Sydonii, który tam prószy, cho,  
wa go do inflady: Klara biene do siebie — do

Pani mi wybacz, jestem zmuszony odejść.  
Biuro licytacyjne przystało po moje ruchomości, które jeszcze są na gorze.

Klara.

Jakto?

Rysler.

Wszystko co miałem, nawet dawniejsze  
moje rabytki sprzedatem na pokrycie mego długu.

seny (zyro)

Ale czy nie powinniśmy tu przystać

Rysler.

(zwracając się z pogardą) — Co pan mówi?

Tak pan sądzi?





Klara.

Ryslerze! na miłość Boga!... twoje  
pragnienie. —

Rysler.

T.

Oh! sturmie — sturmie!  
(odchodni szybko)

Jena d.

Klara-Jeny-Clarus (przy stole na krótko)

Klara.

(do Jena wskazując Ryslera) — To ten  
stowick, którego ostrzegacie. —

Jeny.

O! karko miłe strasnie! Lemsta  
jego jest okropna

Klara.

Lemsta?

Jeny.

Strasna i okrutna! Gotów jestem



oddac' mu życie, ale ta pełna pogor-  
dy wypaniatość słusze, jaka muie  
przyziata! O! stoproć raczej wolę  
gniew jego niż jego dobroć. — Ra-  
czej łzę jego pistoletu niż ten  
wzrost jego. —

Młoda.

Otoż to męczył się. Nie wzdryga się  
się przed napróżnem, zbrodnią, krad-  
wami, kradzieżą, zdradzieństwem  
przyja-  
ciela. . . to mi! Ale wiek tylko  
zarozumiał ich na swą ko-  
stanie narazem, budzi się naraz  
w nich porusze tak kwanego ho-  
woru. . . Chcąc mu życie oddać  
aby się wyptacił za przyniosłą mu  
krywdę. — A ja? Jakże odporuję  
gniew względem muie popętnione.  
Nie on jeden był ofiarą zdrady. —

Jenny (a uog jej)



Przebacz mi! przebac mi!

Klara.

O miłko! wiesz co mi przypominasz?  
Ta kobieta prosiła mnie o przebaczenie  
i ona u nog moich leżała. — Nie zapomnę,  
nie nigdy tych pełnych nienawisści ry-  
sów, tych ust pełnych zapamiętałości  
i klamstwa. —

Henry.

O mił! ja nie klamie. — Klara! spoj-  
nij na mnie, nie mam już sił i sił  
przebiec ci; że cię Kocham, ale serce mo-  
je jest pełne uwielbienia, pełne mi-  
łości twojej wielkości. — Tyle widzę w tobie  
słabości, że występem moim wobec  
niej obłąkam się jeszcze. — Zaklinam cię  
na miłość naszego dziecięcia, zostaw  
mi nadzieję, że mi kiedyś przebacysz...  
Nie odpowiesz? ... płaczesz?  
O! ty mi przebacysz? —



Mława.

O mnie naleygać na mnie . . . Nie  
mam już' też od waszej. - Gdybym  
zapomniał mogła nad naszymi, nad  
waszymi, nad tobie, nad  
twoim społeczeństwem. - Między serce  
które jest prawdziwie Kochało, . . .  
utrącić go. (zaczyna śpiewać)

Żeny.

(zaczyna śpiewać) - Mława! Mława!

Mława.

Nie - dość już, dość już słabości. Ry-  
nek pokazał nam co myć należy.  
Nie myśli o niczym tylko odzium.  
Rób jak on . . . pracuj! —

Żeny.

Nasze stwardniało! Nie słowami dawno,  
długo mego żalu, rynek potrzeb. A  
więc pojdę do kantoru - do roboty.  
(adchodzi)



Marja.

(ocierając twarz). O! jakżeby mi umiała.  
Ja wiem! (Zachęca się do wyjścia, gdy  
Delobelle pobiega z Deryderym.)

Scena 5.

Marja - Delobelle - Plannus.

Delobelle

(zblizując się ku niemu). Pamię Plannus!  
pamię Plannus! (spostroga Marję)  
Proszam pania. Mam zaszczyt  
poznać pania. Proszam! (stania się)  
Bardzo się cieszę, że ci pania. spotkać,  
moja córka jest tutaj: - Chciałaby  
mówić z pania. - Jest to nasz wujek.  
Chodzi o pana Rykera, któremu grozi  
w tej chwili wielkie niebezpieczeństwo.  
Kochając przysięgam panu dla niego, że  
zrobię wszystko. . . .

Marja. —



Nieexpieruistros. ! janie ?

Delobelle.

Nie wiem tego dostadnie. Corakus,  
ja lepiej to pani opowis.

Klara.

Gdzie jest ?

Delobelle.

Jest u pani dwadziecici... tak przy,  
napiniej sadu. - Pani puchary...  
mowis mowis bez zwiastu. Ale to z  
noli wynika... nie - chcialem  
powiedziec... ale tam jestem zinyto-  
wany. - O! straszna to byla noc!  
Wystanie te wypadki!

Klara.

Dozwol panu spiekn do jego ciotki - codcho,  
dziu prawo)

Scena 6.

Plano (wymedny)



Owż właściwie chori?

Delobelle.

O Kochany panie Plannus! List straszny list dojdzie do rąk Ryslera. —

Plannus.

List, od kogo? Od Sydowii?

Delobelle.

Tak jest. —

Plannus.

Skądże pan wiek o tem? czy ją widziałeś?

Delobelle.

Czy ją widziałeś? . . . Toż tej nocy wprost stała przy drzwiach do nas. — Pan wiek że nieukany tu napręciło, gdzie piękną i Sydowia piękna. Dery, dery była jak w tórkę, ją sobie spójno nie jądtem wiecena. . . Pan wiek my synowie Melpomeny, wiecena, my synowie pójno. — Jaki to wynikiem naszego powrotania. — Wtem noraż otrze,



reja się drzewi i wchodzi Sydonia w toa-  
 letcie balowej, blada, pneumonia i tęż-  
 saka ię z febrą z rozrwaniami w tę-  
 mi, z wścickością w oczach. „Cóż  
 tu robisz moje dziecko” kapytatem  
 zaxiwionu. — Maż mnie wypierit,  
 adnenta, zabrat mi wszystko. — Na  
 szczepie dwie miżenne przestato,  
 aby się zemścić na nim i na jego  
 gnawiecku! Powiedziata to zebra,  
 mi grozy, z wyrazem... wspaniale!  
 prawdziwa Rachel!... Mówię do  
 niej rozczadnie, staram się ją uspo-  
 koić... i powoli, powoli... udato  
 mi się do tyła, że w końcu, dalihoj!  
 wieserac zę muna, zaxeta tak spo-  
 wojnit, jakby przilnym 5-ankie zesta-  
 zeszenu. — Za mówitenu zaxere, że  
 w niej siedzi artystka. — Rozumaria,  
 liżny o tej pnyści, chce spiewać,



chce płynąć do Ameryki. Jej namiętne  
cielma spiewu postara się, aby ją zadowo-  
ladowało. — Gdy się deryderyza zbudzi-  
ła, opowiedziała jej naturalnie  
wzruszko. — A ta biedaczka, widząc  
że Sydonia pisze list pod adresem  
Ryslera, sumiastelną została pnerako-  
wą trogą. — Żna ona już się zda-  
je z ciemną Sydonii. — Musi to być  
coś straszniejszego. — Ostatego biegnie,  
my tu jesteśmy, aby panna dać znać  
i pnerakowić, aby list ten nie dośro-  
dak naszego przyjaciela. —

Planus.

Otrzymał go już. —

Delobelle.

O mój Boże!

Planus.

Ale go jeszcze nie czytał. Potwierdził go  
tam na stoliku. —



Delobelle.

Trzeba go zwinąć. —

Plaus.

(krakając hitu na stole) — Gdzieś się  
już podział. —

Delobelle.

Ach !

Plaus.

Możi być w związku . . . Tak, nie,  
zawodnie . . . Wyjaśnij, czego  
nie czyni nigdy. —

Delobelle.

Czy teraz pwrac ?

Plaus.

Oto idzie — (kalając się obaj do kory i stojąc  
na balku)

Scena 4.

Ci sami i Rysler (wchodzi nie spo-  
strzegając ich i idąc wolno z głową skierowaną na prawo)



Selbelle.

(ucho do Klauusa) - Jakże on zmięcający!  
Biedny ciotwick. —

Rysler.

(zbliza się do biorka) / To mi nie posturzyło,  
ten interes na gorze przykre na mnie robił  
wrażenie. Sily mnie opuszczają. / pada na  
krzesło / Wredliwy do pokoju, w którym kiedyś  
drobnostka ja mi przypominała, zdaje mi się,  
że wredtem do przybytku umarłej... Tak, umar-  
tej... Umarła... i pogrzebana. O! teraz już  
wrystko zabrali, nie zostało nic, żeby mi ją  
przypomnieć mogło, nie, jeszcze nie wryst-  
ko, jest jeszcze jej list. / otwiera biorko. /

Selbelle.

Nieha!

Rysler.

(wyjmując list) - Ten kapach!... zdaje  
mi się, że jest przedemną. —



Flaunus.

Co tu robisz? co robisz?

Belobelle.

Poczekaj pan, przypięto mi do głowy...  
wielki coop de théâtre (zobowiązałem do  
Ryslera) - Ah! hm! (marke)

Rysler.

(zagladując się) - To ty Belobelle! dzień  
dobry!

Belobelle.

(teatralnie) - O biedny! drogi Ryslere!  
gdymyś wiedział, jakie wspomnienie...

Rysler.

Dziękuję ci: ... ale przebac! mam  
zajęcie. - (chcę list i założyć rozprawy  
Rupertu) - Zamierzam wprawdzie nie  
wystać go. . . . -

Scena 8.

Ci sami - Francuski - potem Klara i Derydoga-



Franciszek.

(wchodzi szybko) - Ty, Kuzmuncie! macz  
pieniadze. -

Rysler.

(wstawy z wyprzedzeniem i rekami) Francis-  
zku! Franciszku! Jakże mi tego  
widzieć nie mogę! Wem coś dla mnie  
uczynił. Planu mi powiedział. Pozna-  
ję cię po tem. - Przekładam cię za  
cielem. - Ty mnie nie zdradzasz.  
A kto wie? (zstawanym głosem) Wszak  
wzyszy zdradają. Nieprawdaż? Wg-  
łównawcze ich przecie. - Powiedz mi  
że zdrada jest obyczajem świata. To  
na zdrada meja, dziecko zdradają-  
ca. - Dlaczegożby brat brata nie zdradzał?

Franciszek

Bracie!

Rysler.

(rusza mu zis na rękę) - O mój Franciszku!



Gdybyś wiedział co ja cierpiam... z  
cierpie. - Nie chce już znać świata -  
gdyż wieruję, że się zdaje uleciałam  
z niego. -

Franciszek.

Bracie! przyjdź do siebie. -

Rysler.

Maż sturmoć. - Trzeba być silnym.  
Wstań przy mnie Franciszku! Tyś  
silny, gdyż ja kocham i zapomniała,  
też o niej. - Ty mnie będziesz użył. -  
Nie opuszczaj mnie bracie! Byłem  
zbyt słabym i chciałem przeczytać  
list, który mi - ta kobieta pisze. -  
Weź go i przeczytaj!

Delobelle.

(cichy do Plausa) - Trzeba mi dać znak. -

Rysler.

Jeżeli czego żąda, to pomyśl co się da  
zrobić. Tylko mi nie mów o tem. -



Nie chce już o niej myśleć więcej. —

Franciszek

(mimo znaków, jakie mu daje Delbelle, Straussowie,  
na list i wydaje okrzyk) — Ha!

Rysler.

Co ci jest?

Franciszek.

Nie.

Rysler.

Zbladłeś jednak, drzyse! (wskazując na białe) Re-  
wnie uważaj na niegodziwość? Nieprawdą?

Franciszek.

Nie pytaj, listu tego nie powinienś pytać. —

Rysler.

Nie bój się! Nie mów mi już ranić... daj  
mi list...

Franciszek

Bracie! proszę cię... zamilnąć. —

Rysler (wyrzucając list)

Alto to twoje pismo! Mójże żona moja



przychodzi do litu, który ty pirates! (crying) Otań, Mo-  
cham cię, Kocham cię

BIBLIOTEKA TEATRALNA

Własność Gminy m. Lwowa.

Dexydera

(xolixa i i powtana x powisilic) „Kocham cię więcej  
niż kiedy i Kocham cię więcej”. To mój liśc p. Ry-  
sler, który Franciszek napisał do mnie, jakże on  
się dowiedział o rzeczy pana? Sprawa! zgubiłam go przed  
kilku dniami u Cydonii. A więc się znalazł? Tre-  
sta może panu dobrać, że jest on moją otacz-  
nicą, gdyż tak często go od rytyratam, że go wapa-  
nieć umiem. „Kocham cię, Kocham cię więcej  
niż kiedy i Kocham cię więcej”. Na co się pyta  
sramotanie i walna? Młotek nasza siłniej,  
zła jest od nas. (obracając się do Franciszka)  
Czy nie tak Franciszku?

Franciszek

Otań Dexydera! silniejsza jest od nas i na zawsze.

Delobelle

Nie rozumiesz ani słowa... To ma być kwesta Cydonii?

Młoda (Alora x Dexydera, smutna)

Nie - to kwesta Dexydy.

Rysler do Franciszka i Dexydy.

A więc to prawda? Kocham cię? Obieć cię? Ty zastaniesz u  
mnie Franciszku! Oker, jestem esemplary, tak esemplary!

Łośna spada.











K.112

1988.09.06

75



